PIECZONE GOŁĄBKI

czyli

O tem, jak się niegdyś jadało.

GŁOSY POETÓW POLSKICH O APROWIZACYI.

W. W. 1918.

PIECZONE GOŁĄBKI

PIECZONE GOŁĄBKI

czyli

O tem, jak się niegdyś jadało.

GŁOSY POETÓW POLSKICH

O APROWIZACYI.

zebrał
Stanisław Wasylewski

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO
WE LWOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI „GRAFIA", LWÓW.

Spis rzeczy.

PRZEDMOWA

Bywały różne antologie. Zbierał ongi i wydawał Władysław Bełza wiersze o matce w pieśniach poetów, opracowywał antologie poświęcone czy to Janowi Sobieskiemu, czy też żydom w poezyi polskiej. W naszych zaś czasach podejmuje ten sam trud znakomity znawca twórczości polskiej Jan Lorentowicz. Założenie i przedmiot zbioru niniejszego odbiega znacznie od górnych, wysokopiennych tematów, nie boi się wszelako zarzutu — nieaktualności. Ankieta rozpisana wśród nowych i dawnych poetów polskich z zapytaniem, co też myśleli i jak myśleli o problemach aprowizacyjnych zdaje się być na czasie.

Mogły do niedawna wiersze tęskniące ku białym bułeczkom wydawać się figlem niefrasobliwym, fraszką przyziemną. Któż jednak nie przyzna, że dziś mają óne wielką dynamikę poetycką, że nawet nie brak im zabarwienia baśniowego i fantastycznego zgoła!... Samo hasło, pod którem zgromadzono w tej książeczce utwory najpierwszych nieraz artystów, trąci może nieco groteską, niemniej jednak ciekawe daje wyniki.

Ze skarbca poetyckiego Polski, ze złotej przędzy dawnych i nowych artystów wiązanego słowa uczyniony jest wybór. O wyczerpanie materyału nie chodziło tu wcale. W starej literaturze polskiej,

w ucinkach i epigramatach humanistycznych, w nieprzeliczonych „silva rerum“ z XVII stulecia, motywy podobne spotyka się co chwila. O ile są różnorodne pod względem artystycznym, o tyle są bardzo do siebie podobne w poincie i w dowcipie. Tedy jest pochwała albo nagana obżarstwa, uciecha lub też zgorszenie z pijaństwa, patryotyczne wyrzekanie na obce, włoskie czy francuskie wpływy w kuchni, lub też opisy bez końca, które stają się, jak u Mikołaja Reja na przykład, rymowaną książką kucharską, nie ustępującą w dokładności śp. Lucynie Ćwierciakiewiczowej. Czegoż więcej chcieć jeżeli nawet najstarszy zabytek świeckiej polszczyzny potrąca o struny aprowizacyi? Oto na okładce dostojnego kodeksu średniowiecznego z XIV stulecia czytamy rymy figlarne:

Dum bibo piwo
Stat mihi kolano krzywo —

drugi zaś taki najstarszy — sit venia verbo — z poetów polskich uderza w akord dydaktyczny i powiada:

Kapłanie! chcesz polepszyć dusze swej,
Nie mów często: piwa nalej,
Boć piwo jest dziwny olej!

Zresztą dawni poeci polscy dzielą się na dwie grupy: Jedni są smutni dlatego, że Polska je i pije za mało, drugich natomiast żałość ogarnia z powodu, że w Rzeczypospolitej jadają i piją za wiele! Takie i podobne uogólnienia poczyni sobie zresztą sam czytelnik, ujrzawszy tu na niewielu stronicach wiele nazwisk: Od Biernata z Lublina i Kochanowskiego po Lemańskiego i Or-Ota, od najdawniejszych epigramów i bajek XVI w. aż po „ersatze“ współczesnej literatury wojennej. Więc najpierw plejada

pisarzy dawnych. Owi nienasyceni smakosze, idący przez życie pod hasłem „vivere oportet, ut edas“ i pijący „trunek duszkiem a szkło całkiem“, renesansowi sybary, ci z epoki Zygmunta Augusta i ich wnukowie z okresu oświecenia labusie XVIII w. w koronkowych żabotach, delektujący się jarząbkami słoninką nadziewanymi na obiadach czwartkowych u króla Stasia. Często obok żarłocznych smakoszów szczere artifexy! Żyją i piszą w beztrosce i znają tylko jedną radość „joie de manger bien“, którą często w układne rymki chwytać umieją. Także za czasów Sasów kwitnie gastronomia w słowie i czynie:

„Kuchnia szkopuł substancyi i jej ognisko, dóbr ojczystych topielisko“. Akord moralny i dydaktyczny powraca często, a brzmi jakże nieraz złowrogo:

Skujcie wasze talerze, na talary skujcie,
A swemu żołnierzowi zbroję gotujcie.

Miłe klejnociki żartów i szczerego humoru znachodzimy w t. zw. poezyi pseudo klasycznej. Taka n. p. uroczyście pojęta „Oda do brzucha“ Kantoberego Tymowskiego, albo ów lament pseudoklasyka:

Gdym czytał wielkich poetów
Zawszem nad tem ubolewał,
Iż żaden z nich nie opiewał
Dobrych obiadów i wetów.

„Wyspa wszelkich pomyślności“ Alojzego Żółkowskiego aż nas zadziwi wesołością, ujętą przytem w doskonałe stylowe ramy. Roztaczają się przed czytelnikiem widoki prawdziwego elizyum kulinarnego na wyspie, której domy zbudowane są z bu-

łek siedleckich, okna oprawne w łazanki, a klucze u drzwi zrobione z salcesonu. W nocy kładzie się człek spać w pasztecie i pasztetem przykrywa, pączki nosi zamiast guzików, a nawet gdy upadnie w błoto, to się powala — słodko.

Romantyków nie znajdziesz tu zupełnie. Ci — bojkotują aprowizacyę. Rycerz poezyi wieszczej uważałby to za świętokradczą obrazę, gdyby mu się przyszło zniżyć do poziomych motywów żołądkowych. Więc wielkich nazwisk niema. Chyba Mickiewicz w swych klasycznych początkach, lub później w ustępach z Pana Tadeusza, tak bardzo znanych, że ich tu nie cytujemy. Tem większe niespodzianki znajdą się za to później. Oto n. p. czcigodny, w pergaminach zagrzebany historyk Karol Szajnocha śpiewa hymn na cześć powideł, albo też twórca „Zemsty“ filozofuje na temat kartofli, a wreszcie Józef Weyssenhoff piszący erotyki o obżarstwie! Nawet „w cieniu miecza“ Leopolda Staffa odszukać da się przemiły marmurowy i klasyczny wierszyk o koszyku jabłek.

W XIX stuleciu święci tryumfy bolesna nieraz, niezawsze frywolna satyra aprowizacyjna. Przypomni się nam Rodoć zawsze za mało doceniany, bynajmniej nie przestarzały tacytowski w wyrażeniu satyryk, czasem wprost genialny w krótkich ucinkach. W Włodzimierzu Zagórskim poznamy poprzednika Boya, a potem batalion cały poetów skromniejszych rozwinie się w tyralierkę. Z motywami gastronomicznymi łączy się tu bardzo często motyw inny: erotyczny. Miłość owija się powojem dokoła aprowizacyi.

Utwory doby najnowszej podzieliliśmy przezornie na dwie grupy: przed i po roku 1914, iżby

tem jaśniej unaocznić gwałtowną przemianę tonu, jaka dokonała się w epoce kart żywnościowych. Na harfie dawnych sybaryckich wiech przybyła struna nowa, której dźwięku nie słyszał ani Rej, ani Krasicki, ani Wincenty Pol: tęsknota ku kilogramowi białej mąki, marzenie o funcie cukru! Trubadurem dobrego apetytu, zaprzysięgłym znawcą wszelakich spraw kulinarnych w naszych czasach jest Jan Lemański. Najświetniejszy znawca poobiedniej siesty, wieszcz kawioru i cytryny, u którego nie wiadomo co więcej podziwiać: umiejętność wyszukiwania walorów artystycznych w menu obiadowem, czy też pełny dźwięk jaskrawej satyry.

W opracowaniu zbiorku niniejszego i w wyborze zawartych tu wierszy, które nieraz nie bez trudu trzeba było wyszukiwać w wydawnictwach zbiorowych, kierowaliśmy się zasadą: „non multa sed multum". Szczególną wdzięczność za współpracę winien jest wydawca p. Jadwidze Mussilowej, która zebrała szereg utworów szczególnie z literatury dawniejszej. Również przyjąć zechce wyrazy podzięki dr. Jerzy Koller, z którego pomocy nieraz korzystaliśmy.

1.

PRZED TRZYSTU I CZTERYSTU LATY.

Kto gardy, jada chleb twardy

Jeden proszony na obiad
Obiecał się iść bardzo rad,
Acz nie blizko chodzić miał
Wszakoż onej prace nie dbał.
A idąc w drogę wesele
Nalazł w kupie gruszek wiele.
I chocia mu się chciało jeść,
Wszakże nie chciał do nich przysieść.
A gdy długo na nie patrzył,
Na ostatek je pomokrzył,
A cobych ja to w usta kładł,
Będęć tam lepsze karmie jadł.
Owa wtenczas potok wezbrał,
Przez który on przebywać miał,
A tak gdy go nie mógł przebyć,
Musiał zasię do domu iść.
Więc kiedy nawstecz drogę szedł,
A od głodu bardzo był medł,
Rad onych gruszek dopadł,
Przy niewoli wszytki pojadł.
Nie trzeba niczem gardzić,
Wszytkoć się może przygodzić,
Przetoż którzy rozum mają
I namniejszą rzecz chowają.

1550. *Biernat z Lublina*

Co chciał w pół obiadu wieczerzać

Włoch jeden u polskiego pana za stołem był,
Usnął potem, bo mu się długi obiad sprzykrzył.
Obudziwszy się, prosił, by się umył, wody,
Pytając: „Długoż jeszcze mają być te gody?
Dosyciem już obiedwał, już wieczerzał będę,
A na urząd zaś znowu za stołem usiędę“.
I zaprawdę się z tych zbytków cudzoziemcy śmieją,
Iż tak nasi Polacy nadobnie szaleją.

Mikołaj Rej

Za pijanicami

Ziemia deszcz pije, ziemię drzewa piją,
Z rzek morze, z morza wszystkie gwiazdy żyją.
Na nas, nie wiem, co ludzie upatrzyli?
Dziwno im, żeśmy się trochę napili!

Jan Kochanowski

Wybrednym piwoszom

Gniewam się na te pieszczone ziemiany,
Co piwu szukają radzi przygany.
Nie pij, aż ci się pierwej będzie chciało,
Tedy-ć się każde dobrem będzie zdało.

Jan Kochanowski

O zdechłym pawie i nieżywej jałowicy.

Sąsiad sąsiadów raz prosił na chrzciny,
(A wszystko mu się uradzali syny),
Ucztą się wielką dla nich nie przełożył:
Kilka par chleba na stole położył,
A po tem wszystkiem pawu przyniesiono,
Który już było dawno upieczono.
Kilkiem się wtenczas jedzenie udało,
Awa, że zięć go drugiem nie dostało.
I z apetytem do domów jechali,
Ostatka sobie doma poprawiali.
Trafiło się zaś bardzo rychło potem,
Że się zmówili między sobą o tem.
Jeden mu sąsiad najbliższy powiedział:
„Ale dyabeł cię w one czasy wiedział,
Żeś nami skarmił pawu już zdechłego;
Mogłeś zachować to był prze obcego,
Bośmy tu byli prawie wszystko swoi,
Nierychło się ten pawiczek ustoi“.
Ten rzekł: „Jamci się u ciebie nauczył:
I tyś był onej krówki nie utuczył,
Co się snać była za płotem zdrzymała,
Żona ją twoja obłupić kazała,
Tejże napiekli, tejże nawarzyli,
Co się psi o niej już bardzo skarzyli.
Musieliśmy jeść, co nam na stół dano,
Twojej zdechliny nie zaraz poznano;
A byś to rzekomo po cichu sprawował,
Lepiej by to był na obce zachował“.
Słysząc ci dalsze takie ich rozmowy,
Każdy z nich zaraz miał womit gotowy:
A szkoda, że ich tedyż nie poblwali,
Żeby jem byli też odczęstowali.

Anonim-protestant.

O polskim dostatku.

...Każdy w granicach ojczyzny swej chleba
Może dostawać, ile mu potrzeba,
Może zaniechać morskiej nawalności
K' woli żywności.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła jako u Boga na łonie,
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Tu gumna w szczerych polach stoją hojne,
Tu wzór bogaty, tu żniwa spokojne,
Tu chłopek wesół, bo pewnie ma wszytko,
Kiedy ma żytko.

Tu zwierza dosyć, tu bydło bogate,
Tu woły tuczne i owce kosmate,
Pasą się w łąkach jałowice tłuste
I kozy puste.

Stąd ma gospodarz i sprzężą do pługa,
Stąd ma odzieżą pan i dobry sługa,
Stąd mięso świeże, nabiału dostatek
W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łęgu szczebietliwych,
Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych,
W domu obfitość sadowi się wszędzie
Kurów po grzędzie.

Lub też do stołu nielada potrawy
I gołębiniec rodzi nam dziurawy,
Połcie też w domu z niemałą pociechą
Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane
Hojnym Polakom od nieba są dane,
A kto je sobie chce dobrze uważyć,
Może ich zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,
Po drzewie ptastwo igra sobie wartkie,
Do barci niosą pracowite roje
Zdobyczy swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody
Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brody,
Owa Polakom na niczym nie schodzi,
Wszystko się rodzi.

Przetoż już nie wiem, czemuś wżdy tak chciwy
Polaku bracie, mając takie niwy,
Czego wżdy szukasz w dalekim powiecie
Na nowym świecie.

1595. *Sebastyan Klonowicz.*

Schadzka ziemiańska.

. . .

Każę obiad ziemiański potym rychło nosić,
Aby siedli do niego, ochotnie ich prosić.
Gorzałeczki by trzeba, mówią, gospodarzu,
Zatrzymaj się ty jeszcze z obiadem, kucharzu!
Chłopi młodzi, dwudzieste jakoś pędzą lato,
A wżdy się grzać gorzałeczką, aż mię i wstyd zato.
Każę im jednak przynieść kieliszek gorzałki,
Onóż go jeden wypił, z drugim do szafarki,
Aż drugi, aż i trzeci, aż do dziesiątego,
Dopiero siędą k' stołu do obiadu mego.

Już się dobrze zagrzali, aż drugi nie widzi,
Z obiadu ziemiańskiego ono panię szydzi:
Hej, czyście nas częstujesz, miły miąższy groszu,
Nie żałowałeś, widzę, do kura krokoszu
I tej jałowiczyzny napiec i nawarzyć.
Dla swych młocków to było tak kazać uparzyć.
Ani tu jarząbeczka, kuropatwy widać,
Boże, nie daj u ciebie, miły bracie bywać.
A ja też sobie myślę, bodajżeś nie bywał,
Albo raczej bodajem o tobie nie słychał.
Więc się wszyscy z obiadu mego naśmiewają,
A swe głupie szebinki dworstwem nazywają,
Piwkosia im się nie chce, o wino przymówka,
A ja ich żarty zbywam, nie mówię i słówka.

. . .

Piotr Zbylitowski

Bankiet u skąpego.

Często bez ceremoniej w moim domu gości;
Które razem chcąc oddać sąsiad mi ludzkości,
Kupiwszy u karczmarza skopowiny czwiartkę,
Pisze do mnie, na jutro zapraszając, kartkę.
Ledwie się przywitamy: gotuj chyżo, rzecze,
Do stołu. Tu z kolebki mamka obrus wlecze.
Rzekłbym, że żółta jucha od niedzieli świętej,
Ale sam zapach świadczy, że to nie cymenty.
Rzepę siej na telarzu, toż na brudnym trzopie.
On powiedał, że w barszczu, niesie kość w ukropie
Parobek, co wymiatał gnoj od cieląt z grodze;
Nie pożywiłaby się mysz, tak pies ogłodze;
W tym coś, aleć chleb przecie na stole podobno
Kładą, bowiem ośrodka od skorki osobno.

Chcę ukroić, jakbym też nóż gwałtem pchał w zgrzebie.
O nieszczęsny, cicho sam rzekę sobie, chlebie!
Toż onę skopowinę, ledwo w poł przewarzy
Kucharka, niesie na stoł, czy w czerni, czy w szarzy.
Ale i mnie wywodząc w pole i me oczy,
Gospodarz mnie na rosoł uprasza ochoczy.
U dobrej gospodyni krowy, myślę sobie,
Tak smacznego rosołu nie piłyby w żłobie.
Toż marchew, która stąd ma osobne zaloty,
Że kawałek słoniny, w jarzynie aż poty
Od niedziele warzony, na mię właśnie czekał —
A było to we czwartek, drobniuchno usiekał,
Dość chędogo na desce z starodawnych sani:
Baby, mamki, piastunki iskały się na niej.
Tenci koniec bankietu; jam jadł barzo mało;
Przyznam, że mi się więcej blwać niżli jeść chciało.

Wacław Potocki

Słonie i rosłe żubry.

Słonie i rosłe żubry wżdy jednego lasu
Dosyć mają do brzuchów tak wielkich opasu;
Co ryb rzeka wychowa; na jednym ugorze
Sto krów chodzi; człowieka i ziemia i morze,
Choć tak małe stworzenie, czemu się zadziwić
Przychodzi, żadną miarą nie może pożywić.
Lotni się na powietrzu ptacy nie wysiedzą;
Są, co plugawe żaby, są, co węże jedzą.

Żadna bestya nie je i nie pije od apetytu.

Radem wam, bracia moi; dajcie chłopcy wina!
Jest na stole domowa, jest leśna zwierzyna.
Jedzmy, pijmy, jak piją i bestye jedzą.
Uraziwszy się goście na to odpowiedzą:

Ludzie masz, gospodarzu, nie świnie w swym domu,
Tyle jadł, tyle będzie pił, co się chce komu.
Nie mylcie się, odpowiem, na ochocie mojej;
Kiedy świnia nię pragnie, nikt jej nie napoi,
A człowiek choć już rzyga, napelniwszy kiszki,
Jadłby przez dzień, przez noc wytrząsał kieliszki.
Tak was proszę jeść i pić, mając pogotowiu,
Żeby zbytek waszemu nie zaszkodził zdrowiu.

Które wino najlepsze!

Które wino najlepsze mówiono u stołu.
Ci, samo słodkie; drudzy z korzeniami pospołu;
Inszy chwalą klarowne; inszy trochę szare,
A przytem zapaszyste; ci młode, ci stare.
Siedząc też tam pasorzyt: moim, rzecze, zdaniem,
Co go płacić nie trzeba, upiwszy się na niem.

„Ogród fraszek“ *Wacław Potocki*

Lekkie i gruntowne potrawy

Grzanki, pianki; kaszki, fraszki; polewki, przelewki.
Gęś, kapłun, pieczenia, to potrawy do jedzenia;
Z szpereczkami jajecznica jest tych potraw służebnica.
Ba, dobry też i ser z chlebem, prędka potrawa pod niebem.

Trembecki: Wirydarz

O wieprzu

Wieprz karmny ma coś z łakomcą spolnego.
Śmiejesz się? postoj, dowiodęć wnet tego.
Ten poki żyje, tyje, poki chodzi,
Pytam się na co i komu przygodzi?

Drze, szarpa, ryje, kopa, dziki z strawy,
To jego dzieło, to jego zabawy.
A skoro wieprza miłego położą,
Patrz, jak się z niego wnet pożytki mnożą.
Szczeć przod na szczotkę, włosy zaś spędziwszy,
Aż wieprz jak z łaźni po śmierci poczciwszy.
Rozpłatajże go, aż wnętrzności jego,
Różnym nasycą smakiem niejednego.
Chrzept i z ogonem odłóż dla czeladzi;
Głowiznę z chrzanem panu dać niewadzi.
Utni mu nogi, dobre do gorczyce;
Popiecz te nyrki, piecz i polędzwice.
Wyrzni te schaby, wyjm gorne pieczenie,
Będą na stole i te w niezłej cenie.
Żołądek z wieprza, dobre to potrawa,
Zwłaszcza kiedy go przyzdobi przyprawa.
Ozor z podgarlem kwaśno uwarzony
Dobry czeladce, pieprzem zaprawiony.
Weź płuca z sercem, będzie siekaninka,
Będzie to krasna czeladce zwierzynka.
Odłóż wątrobę, będą wątrobnice.
Wszystkie te kiszki wywracaj na nice.
Odbierz z nich tłustość, włoż sadła kawalec,
Każ to wysmarzyć, będzie z tego smalec.
Bywać toż z sadła wonna maść rożana,
Lecz iż ta w maju aż bywa działana,
Więc sadło posol, a złoż je chędogo,
Może się i to przygodzić dla kogo.
Mięso wykrawaj miernie na kiełbasy,
Zwierzynka i to w mięsopustne czasy.
Kiszki nadziewaj manną i jagłami,
Wątrobą drugie, drugie też krupami.
Połcie, te posol i rozpraw chędogo,
Zejdą się te w dom, nie płacąc ich drogo.

Będzie słonina i szołdry, choć małe;
Będą i szperki piękne, przerastałe.
Słuchaj ba nadmi i tę macherzynkę —
Chować szelągi nie każdyć ma skrzynkę.
Białym też głowom przygodna śledziona
W pewnych przypadkach, bo je leczy ona,
Nawet i pierwsza sztuka pod ogonem
Pomaga przez sen powodzią zmoczonym.
Do malarskiego żółć się zejdzie złota,
Bo glancowniejsza z nią bywa robota.
Weźmi i te kły, dobrze piłowane
Przeciw robakom w napoju zadane.
Weźm i kopytka, dobre do kurzenia.
Z nosa płynącej krwie ustanowienia.
To już masz tego nieboszczyka wszytki,
W kupę zebrane, po śmierci pożytki.

Stanisław Lubieniecki

Na włoską ucztę

Rozumiejąc, że bydła do siebie naprosił,
Pełno chwastu nasz dobry gospodarz nanosił.
Którym widzę częstuje swą miłą drużynę.
Kładąc przed nie, chmiel, rutę i młodą jarzynę,
Rzodkiew, czosnek, rzerzuchę i sałatę daje,
Tylko jeszcze na wety siana nie dostaje.

Jakób Trembecki: Wirydarz

Dobra myśl ochotnego gospodarza

Apollo złotowłosy! zdejm sajdak z strzałami,
Każ dziś na stronę bojom pospołu z wojnami,
A weź lutnię słoniową z białośniegiej kości,
Bo dziś u mnie zastaniesz bardzo wdzięcznych gości.

Dziś radość i wesele u nas mieszkać mają,
Które troski frasunkiem ze łba wybijają.
Do nas, do nas ucieszna, wszechrozkoszna pani,
Rumiana Wenus! wsiadłszy na złociste sani,
Weźmij z sobą on wdzięczny orszak panien swoich,
By jeno uweselić wdzięcznych gości moich.

. . .

A ty, chłopcze, do kuchni skocz, mów kuchmistrzowi,
Ty też, moja Zosieczku, bądź mi gościom rada,
Pobież sama do kuchni i przygrzej obiada.
Każ kurcząt, gęsi dosyć i kapłonów napiec,
Do wszystkiego cybulki drobniusienko nasiec.

Może też piękny kąsek jakiej zwierzyneczki,
Pięknie do jakiej smacznej włożyć jarzyneczki.
A piekarzowi tortów, pasztetów z kreplami
Każ napiec i kołaczów z cukrem, z rodzenkami.
A ja tymczasem w karty z pany się zabawię,
Albo im jaką inną krotochwilę sprawię.
Kart na stół daj, skoczkosiu, proś o gorzałeczkę,
Albo moją z pokoju podaj sam flaszeczkę.
Pierwszy trunek do ciebie, mój drużbo cnotliwy,
Wypiję i wiem, że mnie znasz dawno, żem prawdziwy
Twój przyjaciel, i z dawna czczę i miłuję;
Coć się kolwiek podoba, wszystkiem cię daruję.
Do stołu, chłopiąteczka, rychło nagotujcie.
Zimnej wody do wina przynieść będzie trzeba...
Od piekarza do stołu wziąć dostatkiem chleba.

. . .

Tuwalni, wody rychło, aleć lepsze piwo:
Tą się zmyć, owym się spić, tak bywa, jak żywo.
Panny trzeba przesadzać warstwą młodzieńcami,
Jako gdy przesadzają różę gwoździkami.

Do białej płci pachołcy przystąpcie się z wodą,
Podziękuje się w tańcu tej służby nagrodą.
Raczcie, waszmość, za stół siąść, moi wdzięczni goście,
Gładszy przed stół krajczym wnet jeden uroście;
Jest mięso, są i ryby, co komu smakuje,
To niechaj przed się bierze, wiem że się nie struje.
Jest łosoś, są lipienie, jest i rosła szczuka,
Jest smaczna w żółtej jusze cielęciny sztuka,
Raczcie, waszmość, jeść, proszę, to, co nam Bóg zdarzył,
Byle mi smacznie kucharz zająca uwarzył,
Proszę na tę dziczyznę, nowina w tym kraju,
Jak i bażant, wiem, że się nie lęgnie w tym gaju.
Do pieczystego proszę o przysmaki jakie:
Sałata z ogórkami, dostatki wszelakie,
Jam nie Włoch, bardzo mało o kapary stoję,
Limoniej też nie pragnę, oliwek się boję,
Aleć co dom ma, czegoś w ogrodzie nasiała,
Tego chętnie dodawaj, chybabyś nie miała;
Chleb z solą, z dobrą wolą, jak starsi mówili,
Kiedy więc najwdzięczniejszych gości naprosili.
Nuż piwa, wina, miodu; nie mam małmazyi,
Tegom roku nie jeździł po nią do Kandyi,
Ale chmiel nasz wystały i węgrzyn łagodny
Jest znacznego wszystkich nas przywitania godny.

. . .

Przed szlachetną drużyną kiszek z kiełbasami
Przymknij, krajczy; niechaj się nie bawię z flakami,
Bo pany z tego szydzą i za zły znak mają,
Gdy widzą, a młodzieńcy flaki obierają.

. . .

A gdy się obiad skończy, w taniec muzykowie,
Zagrajcie co grzecznego żądni pachołkowie,

Są gotowi z paniami kształtownie wywijać,
Kto niedojadł, wolno mu z panami dopijać.

. . .

Nuż każdy z swą do swego, gospodarzu, tobie
Czołem bijąc, wszyscy dziś podpijemy sobie.

Hieronim Morsztyn

O kawie

W Malcie-śmy pomnę kosztowali kafy
Trunku dla Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby
Niech chrześcijańskiej nie plugawią gęby!

Andrzej Morsztyn

Na nieporównany zbytek bankietów polskich

Silcie wy się panowie na koszty próżne
Budując splendory różne,
Lubo się przecie zostanie co z tego w domu,
Puścizna z następców komu;
Ale Polski nie gubi nic, jak bankiety,
Drogie paszty, huczne wety,
I malwatyckie trunki, wina z Tokaju,
Z obcego Alakant kraju,
Niepomierny w szafunku stołowy zbytek,
Pożywa wasz dochód wszytek.
Gdy wam nie z indyjskich stół zastawion jatek,
Szemrze brzuch na niedostatek.
By rozmarnować zbiorów dziadowskich fanty,
Niech przecię będą bażanty.

Sta kuchtów rota koło ogniska burzy,
Skąd się dym jak z Etny kurzy,
Ognie kominem widać, jakie bez mała
Gdy ludna Troja gorzała.
Tu garce wrejąc mruczą, tam kotły z miedzi,
A w każdym pełno gawiedzi.
Gdaczą kury w męczeństwie, gęsi gęgają,
Na złych ludzi narzekają.
Skarżą się kuropatwy, źle o kwiczołach,
W garcach topią je, w rosołach.
Tam skazano na ogień całkiem bawołu,
Z nimże i żubra pospołu.
I niewinny zajączek cierpi sztych srogi,
Lancą przebit między nogi.
Trą miałko jadowite w moździerzach pieprze,
Nacierając niemi wieprze,
Z których potem szczególnie za upominki,
Szlą westfalskie panom szynki.
Z Kanaru, co go przysłał Hamburg niebliski,
Mrozem bielą się półmiski.
Po wierzchu mi spadają cukrowe grady,
A chłopięta temu rady.
Patrz tak na komedyi, wlazł kapłon w flaszę,
Stąd go stłukłszy ją wystraszę,
Tu bażant, choć zabity, swe rozpościera
Skrzydła i na nich umiera.
Jarząbek ustrzelony groty z słoniny,
Nuż w pasztetach mięszaniny.
Wychodzą, a przychodzą co misy noszą
Drabi, dragani z Wołoszą.
Z serwet wokoło baszty, lecz gęste wieże,
Padną, że nikt nie postrzeże.
...W tem niosą staroświeckie z kredensu czary,
Szklanice, kusze, puhary.

Z stuletniej Bachus beczki ochotę rości,
Już więcej flasz niźli gości,
Parkan grodzą z kieliszków, a z szklenic wały'
Ciasny szańcom tym stół cały.
Ochotnik się ociera, hetman przywodzi,
Do kropelki jak się godzi.
Za nim hajda, kto z gości mąż doświadczony,
Do przeciwnej wypal strony.
Postrzelonych niemało w oboim szyku
Niebezpiecznie od massyku.
Ażeby nie czuć razów, to wszyscy krzyczą:
Stoi za zdrowie (bo go życzą)
Za twe królu, kanclerzu, wodzu z marszałkiem
Trunek duszkiem, a szkło całkiem!
Pan dziś wesół, lecz jutro skrobnie się w głowę,
Dług zaciągnąwszy na nowe.
Bo grubarze, źli rajcy, nieszczerze radzą,
Że panu koszty nie wadzą.
Dziś w arendę wsi pójdą, jutro w zastawy,
Ten koszt wszystek na potrawy.
Potem nie wykupiwszy przestronych włości,
Przyjdzie pozbyć i wieczności.
Kuchnia szkopuł substancyi i jej ognisko,
Dóbr ojczystych topielisko.
Zbytek, co twe Polaku tak gardło lubi,
Ciebie i ojczyznę gubi.
Ten dawne familie zniszczył i domy,
Zbiorów pożerca łakomy.
On dziedzictwa wynosi, wnosi ubóstwo,
I innych bied różne mnóstwo.
A nadto, o co słusznie Polska go wini:
Iże niemężnymi czyni.
Bo o chlebie Polacy prawie a wodzie,
Przyszli ku takiej swobodzie.

Zawsze zbytek rozprasza, skromność gromadzi,
Tej się wam jąć nie zawadzi.
Dobrze kotek powiada pod Bożą wiarą:
Dziatki, dziatki trzeba miarą!

Wespazyan Kochowski

O PP. Winiarzach krakowskich.

Któraż to woda, którą płacimy nadroży,
Owa, którą w Piwnicy Winiarz, Wino tworzy
Mówią i oni, że też tak czynią u Ołtarza,
Ależ tam inszy sekret, inszy u Szynkarza,
Znowu mówią, tak było w Galilejskiej Kanie,
Ależ insze tworzenie, insze roztwarzanie,
Toż im czynić: jak grzeszą, tak ich też i trapić,
Wodą poją, Wody też daćby się im napić.

Wespazyan Kochowski.

Czara.

Lubo Auszpurskim dziełem, mistrz mię doskonały,
Wystawił Archiczarą: w ten pozór wspaniały.
Większą jednak pochwałę, stąd ja miewam swoją,
Kto mi aż do dna zajrzy, każdego upoję.

Wespazyan Kochowski.

Na niewdzięcznych i obmownych gości

Proszę Cię Mikołaju do siebie w dom, ale
Po staropolsku mówiąc na sztukę mięsa, choć
Będzie przy tym co więcej, nic jednak ad Luxum
Za wczasu Cię przestrzegam. Jeżeliś jest z owych

Smakowiczków, co owo cudzym przyganiają
Potrawom, powiedz mi w czas, ja takich nie lubię.
Raczej owych, co wszedłszy do cudzego domu
Ślepymi i niemymi są oraz gośćiami.
Cum veneris in domum alienam, mutus
Sis et furdus, tak dawna łacina powiada:
Ale gośćia takiego uchowaj mie Boże,
Co się na moje wino krzywi i na piwo,
Co potrawom przygania, takich sam nie mając.
. . .
Ale ty Mikołaju przybądź do mnie proszę,
Bo cię znam, że tak rzekę, intus et in cute,
Nie uprzykrzysz mnie się ty, przyjmiesz to, co dom ma.
Zostawmy tym bankiety oraz i nieszczyrość
Którzy się dworem bawią: tam szumne potrawy,
Ale kto wie, czy w której niemasz wsypanego
Arseniku: bo w takiej chciwości, i oraz
Concurrencyi, wie kat, kto o kim co myśli
Pięknie częstują, jedzą, piją, a źle myślą
Za zdrowie więc obróci pełną w kryształowym
Kieliszku; o kiedyby widzieć przez ten kryształ
Czy mi go szczerze życzy: Ale serca nasze
Zakryło przyrodzenie, trudno go tam widzieć,
A choćbyś widział, trudno poznać co w nim siedzi,
Czy miłość, czy nienawiść. Druga, że w tych dworskich
Bankietach szczyry luxus. Niemasz na żołnierza
A jest na kuropatwy, łosie i jelenie.
Muzyka gra, śpiewają królewscy Wałaszy,
A onoby zaśpiewać trzeba ową piosnkę
Wieczna, wieczna sromota i nienadgrodzona,
Polacy, ziemia wasza w niwecz spustoszona,
A wy przecie pijecie, srebra pełno wszędzie.
Skujcie tedy talerze na talary skujcie
A swemu żołnierzowi pieniądze gotujcie.

Tu o niebezpieczeństwach powiadają świżych,
Tu ojczyzna w opale, a przecie jakoby
Za oceanem wszystkie pericula były.
Mało o tym i wspomina, tylko coś na odbyt
Dajmy im pokój, dał ich reprobum sensum
Pan Bóg. Siebie pilnujmy. Ty bądź u mnie jutro.

Krzysztof Opaliński.

Na szukającego cudzych obiadów.

Ze smutkiem widzisz czoło Jana zasępione
Że przewraca na głowie włosy najeżone
Że z żadnym nie chce gadać, że ponury siedzi
Że wzdycha, że sam z sobą pasując się biedzi.
Mniemasz, że go do tego przywiodła dóbr strata
Lub śmierć którego z krewnych lub siostry lub brata?
Bynajmniej! wszyscy zdrowi, niema żadnej szkody
Ma dość bogactw, pieniędzy, ma wszelkie wygody
Słowem: ni na czem jemu nie zbywa w potrzeble
Czemuż tedy tak smutny? Je obiad u siebie.

Z „zabawek rymotwórczych“

Kurdesz nad Kurdeszami!

Każ przynieść wina, mój Grzegorzu miły,
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły,
Niech i Anulka tu zasiądzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Skoro się przytknie ręka do butelki
Znika natychmiast serca smutek wszelki,
Wołajmyż tedy, dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Nie złe to wino, do Ciebie mój Grzelu!
Cieszmy się, póki możem przyjacielu
Niech stąd ustąpi nudna myśl z troskami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Patrzcie! Jak dzielny skutek tego wina,
Już się me serce weselić poczyna.
Pod stół kieliszki, pijmy szklanicami!
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

I ty Anulko, połowico Grzela
Bądź uczestniczką naszego wesela:
Nie folguj sobie, chciej wypić z nami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Już po butelce. niech tu stanie flasza,
Wiwat tu cała kompanija nasza!
Wiwat! z Maciusiem i przyjaciółami!
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Maciuś jest partacz, pić nie lubi wina,
Myśli, że jemu złotem jest dziewczyna,
Dajmy mu spokój, pijmyż sobie sami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Odnowmy przodków ślady wiekopomne
Precz stąd szklanice, naczynia ułomne,
Po staroświecku pijmy puharami
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Już też to Grzelu przewyższasz nas wiekiem
A wiesz, że wino dla starych jest mlekiem,
Łyknij, a będziesz śpiewał z młodzikami,
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Franciszek Bohomolec

Pochwały wesołości.

Ten, mem zdaniem, dobrze żyje
Ten na długie lata godzi
Kto pod miarę winko pije
I piosnkami troski chłodzi.
  Po szklaneczce do piosneczki
  Po piosneczce do szklaneczki.

Ustępuje wnet frasunek,
Znika serca utrapienie:
Skoro usta czują trunek,
A uszy wesołe pienie.
  Po szklaneczce i t. d.

Aleksander tak żył wielki:
Skoro ucichła Bellona,
Przynoszono wnet butelki,
Przy nich szły śpiewaczek grona.
  Po szklaneczce i t. d.

Tak czynił i nasz Batory,
Miłośnik uczonych hojny,
Lubił piosnki i likwory
Nawet podczas trudów wojny.
  Po szklaneczce i t. d.

Przez posępne mędrców czoła,
Naukom zły humor szkodzi:
Milsza jest mądrość wesoła,
Wino myśli mądre rodzi.
  Po szklaneczce i t. d.

Pitagor nauki brzmieniem
Z przywar swe serce wybawił,
A Dyogen beczki cieniem
I siebie i drugich bawił.
  Po szklaneczce itd.

Powraca nauk wiek złoty,
Pracujących pan zasila:
Pan dodaje sam ochoty:
Czwartek dla nas złota chwila.
Po szklaneczce i t. d.

Trudy rozkosz niech przeplata,
Umiejmy czas dobrze trawić,
Bodajbyśmy w setne lata
Tak się mogli jak dziś bawić!
Po szklaneczce i t. d.

To mi mędrzec zawołany
Co z szklaneczką mądrość godzi:
Trunek pieśnią przeplatany —
Ten zapala, tamten chłodzi.
Po szklaneczce i t. d.

Fraszka taka mądrość dzika,
Co pozorem smutnym straszy:
Pieśń powabna myśl przenika,
Sercu wesołość od flaszy.
Po szklaneczce i t. d.

Smutek się tam nie zapląta,
Gdzie szklaneczka myśli żarzy:
Wiwat syn Anakreonta
Z podobieństwa myśli, twarzy.
Po szklaneczce i t. d.

Wieńczmy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce:
Dobrze nam się czasy wróżą,
Niech się rodzą Bohomolce!
Po szklaneczce i t. d.

Franciszek Bohomolec

Przemowa

Mówił ojciec do syna: głupcze opętany
Czego ty się na wszystkie rzucasz ludzi stany
Po co chcieć wielkich przygód, mogąc żyć w spokoju?
— Ach! — rzekł syn — któryż goły boi się rozboju?
— A jak Cię do szpitala między głupich wsadzą?
— Dałby Bóg! Tam przynajmniej wiem, że mi jeść dadzą.

Franciszek Zabłocki

Pijak

Trawiąc niegdyś nad flaszką nocy i poranki
Chory pijak stłukł wszystkie kieliszki i szklanki
Klął miód, piwo znieważał, wino zwał tyranem
Przyszedł do zdrowia i odtąd pił... dzbanem.

Ignacy Krasicki

* * *

Wdzięczna miłości kochanej szklanice:
Czuje cię każdy: i słaby i zdrowy
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy
Śledzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleść, byle kupić
Nie żal skosztować, nie żal się i upić!

Ignacy Krasicki

Z listu imiennika brata do siostry.

...Bodaj przebywać w osiemnastym wieku
Może, iż w przyszłym jeszcze lepiej będzie
Cieszyć się z tego, co dzierżysz człowieku
To jest najlepiej w przyrodzonym rzędzie.
Achilles, Cezar wielcy ludzie byli
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

Wielcy! cóż z tego? ja im nie zazdroszczę
Byli, ja jestem. Śpię, piję i jadam
Przebiorę miarę, więc się i przeposzczę
I znowu wesół, jem, piję i jadam.
Przejdę, a po mnie nie będzie się biadał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.

Ignacy Krasicki

2.

WIEK DZIEWIĘTNASTY

Oda do brzucha.

Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu,
Tobie któremu hołdują i trony,
Brzmią moje strony.

Skroń się odchmurza Olimpskiego pana,
Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
Boską prawicą leje Ci nektary
Z wulkana czary.

W obliczu twojem równymi są ludzie;
Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,
Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka.

Na twe rozkazy uniża się pycha;
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojcze przemysłu, ojcze twórczej pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka skoro głód dokuczy
Robić się uczy.

Kiedy poecie żołądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Huczą siekiery, upadają dęby,
Krew ofiar płynie, dym wije się w kłęby
I przemyślnego geniusz kucharza
Potrawy stwarza.

Ciągłem o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydlęty;
Tobie wybite silnym cepem ziarna
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią,
Warczy kołowrót, sprzeczne śruby piszczą,
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy,
Goreją piece, kołacz się rumieni
Garnek szepleni.

Tobie puncz tworzy i chłodzące lody,
Jakich nie miały Pellejowe gody,
Pieni kakao i leje karmelki
Lessel nasz wielki.

Czy Rozengarta smakuję pierogi,
Których zazdrościć mogą nam i bogi,
Czyli pieniste rozlewam szampany,
Tyś wspominany.

Tyś kęsy dzielił z bogami ofiarne,
Tobie polewki Spartan warzył czarne,

A żarłok Tybru na złotym obrusie
Niósł móżdżki strusie.

Gdy kartę dziejów odwrócę zbutwiałą,
Widzę Lukullów służących ci z chwałą;
Dziś ku czci większej przyjaźń chowa ścisłą
Sekwana z Wisłą.

Miejski pasibrzuch teraz już nie schudnie,
Nie ranek tylko, wieczór i południe:
Wzywa go usty restauratora
Każda dnia pora.

Schnie gach z miłości błagając nieczułą,
Mędrzec nad księgą, skąpiec nad szkatułą,
Kiedy dwaj głupcy westfalską kiełbasą,
Śmiejąc się, pasą.

Powszechne prawo twoje i potęga,
Od mroźnej Zemli do Tigrysów sięga,
Dzikie i światłe narody na globie
Podległe tobie.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszą jest gęby;
Miło jej, czyli parzy się czy dmucha,
Byle dla brzucha.

Kanjobery Tymowski

Pochwała sztuki kucharskiej.

Chcąc mądrości karmić ducha,
Trzeba szperać nieskończenie.
Pożyteczniej jest do brzucha
Wyborne tłoczyć jedzenie.

Nad sławę i nad wawrzyny
Wolę ja wazę rosołu,
Polędwicę smaczną z wołu,
I pieczeń z cielęciny.

Gdym czytał wielkich poetów,
Zawszem nad tem ubolewał,
Iż żaden z nich nie opiewał
Dobrych obiadów i wetów.
Ledwie Homer i Wirgili,
Nucąc nieśmiertelne pienie,
Coś *per nefas* nadmienili,
Że zajadano pieczenie:
I baranie i jelenie
I cielęce i wołowe,
A i to napół surowe.

Uczestnik stołów Augusta,
Który z apetytu słynął,
Jakby mu kto związał usta,
W swych pismach uczty pominął.

Tej, co na widok wydała
Teoryą kucharskiej sztuki,
Hickmanowej cześć i chwała
Przeżyje wszystkie nauki.

Gdzie z erudycyą krytyka
Chwali dobre, złe przygania;
I nad podlewą indyka
Czyni chemiczne badania,

Cóż nad jej dzieło lepszego być może?
Łechce nasze podniebienie
I chwiać się każe w wyborze
O to lub owo jedzenie.

Czyli kto kończy czyli też zaczyna,
Czy spotka zupy, czy ciasta,
Wnet mu do ust idzie ślina
I apetyt do nich wzrasta.

A w tak przyjemnem zostając marzeniu,
Słodką się nadzieją łudzi,
Że po chwilowem uśpieniu
Do wieczerzy się człek budzi.

Ferdynand Chołomsk

Wyspa wszelkiej pomyślności.

Ledwie co nie piękniejsza od raju Adama,
Jest to kraj delicyi, jest to rozkosz sama.
Wśród wiecznej wiosny, leży miasto zbudowane,
Cudowne i przyjemne, wałem opasane,
Wałem darnią okrytym; na jej liść pieszczony
Składał się tywtyk, jedwab, aksamit strzyżony;
Domy są o dwóch piętrach, w każdem oknie ganek,
Schody z bułek siedleckich, a okna z łazanek;
Lecz jak bo też są czyste łazanki tamtejsze,
Niż szkło czeskie, niż kryształ, sto razy czyściejsze.
Firanki z naleśników, frandzle z makaranów,
Zamki z szynek, półgęsków, klucze z salcesonów;
Wewnątrz dużych pokojów, są przesmaczne meble,
Jakie chyba angielskie zdziałać mogą heble.
Tam po trudach światowych śmiertelnik spoczywa.

Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem przykrywa
Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry cukiernik —
Wyrył, co zdziałał Cezar, co odkrył Kopernik;
W doniczkach rośnie bigos, lub potrawka z kury,
Podług uprawy ziemi i nasion natury,
Bowiem ziemia tej wyspy, jest cudnej zalety;
Posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety,
A kędy żyto, owies lub jęczmień schodzi
Zaraz się na niego w podle kupiec zrodzi.

Dalej chcąc się rankową rozerwać gonitwą,
Wchodzi golić cerulik floransową brzytwą,
Sama taca przybywa, na niej czekolada,
A zefir, by ją ostudzić na imbryczku siada,
To dmucha w filiżankę, to biszkopty macza,
Wtem sto kamerdynerów dokoła otacza:
Dają bogate suknie w różne cukry tkane,
Kieszenie duże, liczne, gruszkami napchane;
Zamiast guzików, pączki pulchne z powidłami,
Człowiek je czasem zrywa, żyje guzikami.
Wychodzi na ulicę, alić tam szerokiem
Wali się porter, wino i płynie rynsztokiem,
Z boku kawa lewancka, a śmietanka w tyle,
Kożuszki zaś latają, jak u nas motyle.
Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta
Jest w pierogi leniwe i francuskie ciasta,
Nie żałuje tam człowiek chociaż się pośliźnie,
Bo choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie;
Restauratorniów niema, ani table d'Hota,
Lecz gdy apetyt brzuchem w południe szamota,
Wraz nimfy stół stawiają, przynoszą obiady,
I żeby się człek najadł, służą mu Najady.
Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczenią,
Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią,
Kielich pełen szampana sam do garści biega.

Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęcą,
Ledwo zeszły z obrusu, już się w głowie kręcą.
. . . Minąwszy porę dalszą w wieczór na kształt wiatru
Na kołach watowanych śpieszą do teatru.
Zamiast zwykłych biletów albo kontramarki
Portjer daje karmelki, paradyz sucharki.
Tam widzę cudne rzeczy... W grze aktorów zgodność
Na parterze wspaniałość, w krytyce łagodność.
A w lożach orszadowych, zajętych przez wdzięki,
Słyszę hasło do brawa od łaskawej ręki.
Budy suflera niemasz, lecz jak szpilki główka,
Takie małe aniołki podają im słówka.
A na tańce, śpiewania zachwyca się dusza
I w górę się wznosi, jak Machabeusza.

Alojzy Żółkowski.

Z poematu: „Kartofla".

...Pójdźże lutni, ku wielkim sprawom Cię nawiążę
Przeszłą zwiedzę rozległość, w przyszłość się pogrążę
Kartoflo! usty twemi Boże znaczysz chęci
Twa cudność mię przeraża, twa dobroć mię nęci
Módl się za mną, bym trackich panienek wziął blasku
Bym twe imię w powszechnym uwiecznił przyblasku
Powiem twą postać krasną, różność twojej farby
I nad zwierzchnią ozdobę droższe wnętrzne skarby
Powiem, jako przedziwnym znaleziona cudem
I w niebach spór zapalisz i pomiędzy ludem
Jak stąd krwawe zapasy, jak wystawne bale
Jakie morza; jakie odwiedzono sale.
Ile krain bolesnych, ile panien jękło
Ilu mężów zginęło, ile butlów pękło!
Niech gdzie słońce zasypia i skąd błyska ranek
Znają iż twardo przyszły użytki z ziemlanek.

Adam Mickiewicz.

Był tam rosół z pozłotą.

(Z „Dworca mego dziadka").

...Był tam rosół z pozłotą, sztuka mięsa z kwiatkiem
Flaki w tłuszczu tonące i pieczeń huzarska
Wielka nawet naonczas *raritas* kucharska.
Jakaś strawa szczególna i dotąd nieznana,
Dziwacka, cudzoziemska k a r t o f l a m i zwana,
Którą Grzegorz nie wiedząc, jakby się ważyła
Zgotował z kartoflami i przedziwną była.
Zjadł dziaduś, jednak lepiej Pan Pułkownik zmiatał
I znów Turki i Szwedy i Tatary płatał,
Walił łosie, jelenie, żubry i niedźwiedzie
I co w drodze nie wyłgał, dołgał przy obiedzie.

Franciszek Morawski.

Kartofle.

Kartofli w gorzelni, a w świecie człowieka
Jedna kolej życia, jeden konicc czeka,
Na cztery epoki byt się ich rozkłada,
W pierwszej się przydusza, waży i gotuje,
W drugiej fermentuje,
W trzeciej opada,
Nareszcie w czwartej, jakby nożem pruł,
Spirytus w górę, wywar idzie w dół.

Aleksander Fredro.

Hymn do powideł.

Cóż z interesu nie uczyni człowiek
Od piersi matki do zawarcia powiek
Rządzi nim chciwość. Jeden głodny złota

Drugim serc pięknych pożądliwość miota,
Trzeci próżności łakomy świecideł,
U mnie nad wszystko — łyżeczka powideł!

Powideł polskich smaku tajemniczy!
Cudna harmonio kwasu i słodyczy!
Niech inni wielbią, jakie chcą melodye,
Kto sobie wonnych powideł podje
Temu zamało śpiew eolskich dzwonów
Ten nawet twojej — miła Muzo tonów —
Serca i słuchy czarującej ręki
Powidło-twórcze głównie ceni wdzięki.

Za takich tedy przysmaków wspomnienia
Za błogie — pozwól — o przyszłych rojenia
Gdy cię szpargałów chętka zdjęła pusta
(Dziwne bywają na tym świecie gusta)
Wyciągam chętnie szpargały z zakątów
Niech pod retortę służą zamiast lontów
Jak Ikar w słońcu pragnął spalić skrzydła
Tak jak rad spłonę w ogniu na... powidła!

Karol Szajnocha.

Wielkanoc polska.

„Oto dwór jakiś. Wstąpmy, bracie"
— A czy waszmość tu się znacie?
„Jako żywo nigdy w oczy!
Lecz gdy cały świat ochoczy,
Dzisiaj po chrzcie i po chlebie
Dobrze przyjmą tutaj ciebie.
Kto i jaki? nikt nie pyta;
Nawarzyli i napiekli,
„Alleluja" sobie rzekli,
Ot i gości każdy wita!

Jakże suto zastawione
Długie stoły u ścian w koło!
Staropolskie to święcone,
Więc zabawim się wesoło.

Bo, co wszystkich tak weseli,
To dla serca w ziemi rajem.
Ot gospodarz jajkiem dzieli,
To i my się dzielmy wzajem!

„In quo nati! Ależ starka!
Dobrze taką post odprawić;
„Tylko trochę wielka miarka“
— A ja radzę, by poprawić!

Ktoś tam z boku na to prawi:
Bo trza wypić, kto chce spożyć;
I kto wieżę w ziemi stawi,
Ten fundament ma położyć.

Mazowiecki statut radzi,
By po starce przysiąść trochę.
Więc siąść w kątku nie zawadzi,
Bo są rzeczy tu niepłoche.

Świat zwykł chwalić te powaby
Gładkich panien — zawdy, wszędy;
Lecz w kąt panny, kiedy baby
Tak wyrosłe stają w rzędy.

Co u licha! dzik zuchwały
W poprzek stołu legł układnie:
Jakże z nim się spotkać padnie,
Kiedy widzę jeszcze cały?

Niema troski, bo nadziany
Kopą pardwi — przystęp łatwy
I głowizną przekładany;
A są także kuropatwy.

W drugim końcu w równej mierze
Tej zastawy sarniuk strzeże;
Stanął niby w małym lesie
I złocone rożki niesie.

Miasto darni, mszą się puchy
Od fiołków i rzeżuchy.
Co tam stoi między dzikiem
A sarniukiem — któż to zgadnie?

Kto to przejdzie wszystko likiem,
Co dom daje tak już ładnie?
Tutaj szynki — tu pieczenie —
Więc i sarnie i jelenie.

I cielęce i baranie —
A co bliżej, to już stanie
Ta kiełbasa pozwijana,
Pisankami przetykana.

Aż i tutaj — i tam prosie
Już na krańcu stołu staje.
Bo tu ledwo dopchało się,
A więc w pyszczku chrzan podaje.

Gęsto między tem mięsiwem
Leżą rzędy ułożone.
Te mazurki postrojone,
Co sąsiadek są podziwem.

Więc i placki przekładane,
I kołacze te rumiane,
Co po sobie gęsto stoją
I barwinkiem stół ten stroją.

W środku stołu stoi wiernie
I urobion jest misternie
Ów baranek, co prowadzi
I te grzechy świata gładzi.

A już głębiej, za barankiem
Wonne kwiaty stoją wiankiem;
I z przysmaków urobiony
Koń w tureckim stoi siodle.

Bo nie chadzał dom ten podle,
Ale gotów do obrony,
W rodzie swoim miał hetmana,
Który siadał w siodło chana.

Więc w tym koniu pamięć męstwa,
Wiernej służby i zwycięstwa,
Staropolski dom ten święci —
I nie jemu z tej pamięci.

Ale chwała jest w w narodzie,
Że szli tacy nam na przodzie;
I szczęśliwy jest ten, komu
Czcić się godzi dzieje w domu;

Kto jak starszy, staje czołem
W święto wielkie przed kościołem;
Kto jak starszy, jest przewodem
Dla narodu swoim rodem.

Wincenty Pol.

(Z pieśni o domu naszym).

Napis na kuflu.

Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika
Z przywłaszczonego odarto ich blasku
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.

Ale w Dytmara pismach zostawiona
Pamiątka stara, kronikarska, żywa
Bolesław Chrobry przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.

Władysław Syrokomla.

Dwa spotkania.

Spotkałem go w młodości dnia
W objęcia moje upadł on,
I rzekł mi: „Bracie! w spólnych snach
Znajdziem zwycięstwo albo zgon“!

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem go na środku rynku;
W objęcia padł: Ach przyjacielu
Zawołał „Chodźmy do szynku“!

Adam Asnyk.

Znasz li ten kraj?

Znasz — li ten kraj
Gdzie kartofla dojrzewa
Gdzie zagasł złota blask
I szlachcic cienko śpiewa
Gdzie głód i chłód —
Zagląda w progi chat
I nędzne trapi wioski?...
Gdy sejm wciąż stawia wnioski
O tu, o tu golizno miła!
Tu jest twój raj, tu zawsze będziesz żyła!

Włodzimierz Zagórski (Chochlik).

Anioł z bydlęcia.

Czy wam się kiedy zdarzało,
Noc przehultaiwszy całą,
Z głową ciężką, niby ołów
Zbudzić się pośród popiołów?
Wśród butelek i półmisków,
Wśród pasztetu niedogryzków,
W pośród cygar niedopałków,
Wśród stłuczonych szkła kawałków
W pośród kart podartych talii
Z smętnem uczuciem... kanalii?!

Znanym-że wam głos sumienia,
Co ocknąwszy się z uśpienia,
Mówiąc, tak jak ojciec gada,
Z grzechów wtedy nas spowiada,
A jak z książki wam dowodzi,
Jako szampan zdrowiu szkodzi —
Jako bywa z czci odarty
Ach — i z grosza, kto gra w karty
Jako człek w rozpusty sidle
Niżej upada... niż bydlę!...

Wywołana owym głosem,
Z smętną gwiazdą ponad włosem
Z twarzą, perły łez zroszoną
Skrucha nam zstępuje w łono...
Wszelkie żądze w piersiach gasną
W duchu robi się tak jasno,
Tak poważnie, tak poczciwie
Tak rozsądnie, tak cnotliwie!
Zbrojny w zacne przedsięwzięcia
Anioł zmartwychwstał z bydlęcia.

O nie drwijcie! nigdym w życiu
Nie czuł tak, jak po przepiciu
Kędy leży cel żywota,
Gdzie jest fałsz — a gdzie jest cnota!
O nie drwijcie... Skruchę ową
Jam ukochał, sercem, głową
Za nią tęsknię bez przystanku
I jej tylko szukam w dzbanku;
U waszego siadłszy stoła
Ja wskrzeszam w sobie — anioła.

Włodzimierz Zagórski.

Pod szum samowaru.

Cóż milszego, jak gdy marzeń
Najdzie w duszę tłum
Patrząc w oko przyjaciela
Snuć przędziwo wspólnych wrażeń
Splatać wspomnień bukiet wonny
Z dni boleści, z dni wesela
Na wpół cichy, monotonny
Samowaru szum!

Słyszysz, słyszysz? ile głosów
Znanych w szumie tym
Płyną z ziemi i z niebiosów
Serce wtórzy im.
Nie! to nie głos złudzeń płonny
Ale smutek — kum
Wszedł w ten cichy monotonny
Samowaru szum!

Druhu miły, pójdźże bliżej
Dłoń do dłoni daj
Ulecimy, jak ptak chyży
W zapomnienia kraj.

Ulecimy w jasny, wonny
Świat marzeń i dum
Popod cichy, monotonny
Samowaru szum!

„Szczutek“ 1871.

Opinia na śniadaniu.

Ktoś Opinię na śniadanie
Prosi, gdy ją spotkał w drodze:
— Dziękuję Ci dobry panie
Na śniadanka ja nie chodzę.

Będzie ostryg wielka siła
Będzie nawet morska ryba!
Opinia się zamyśliła
I odrzekła: A no, chyba!

Mikołaj Rodoć.

Tak kolego...

Tak kolego... dziwne zmiany!
Dawniej byłeś jak krew z mlekiem.
Dziś — blady, nędzny, złamany,
Gdy ja, chociaż starszy wiekiem,
Patrz! ścięgna mam jak stalowe.
Ręce, nogi — wszystko zdrowe.
Wytłómacz-że mi to bracie,
Bo ja tego nie pojmuję?

— Ha, pewnie codzień jadacie,
A to widzisz, konserwuje.

Mikołaj Rodoć.

Gdy Hamlet cisnął w twarz naturze...

Gdy Hamlet cisnął w twarz naturze
„Być albo nie być“, pełne gracyi,
Rzecz pewna, że miał w sercu burzę,
Bądź co bądź był on po kolacyi.

Gdyby był głodny, byłby raczej,
Zamiast onego tragi — krzyku,
Niemniej tragicznie, choć inaczej,
Zawołał: „Dajcie mi befsztyku“.

Tak to zawiłą kwestyę bytu
Rozstrzyga prosta — apetytu.

Nie jestem przy apetycie!

Garson! proszę o nakrycie!

— Wiem, w osobnym pokoiku...
— Nie jestem przy apetycie...
— Może czystego barszczyku?
— Ej! nie, wolę bulion jaki,
A przed tem, jak zwykle — raki.
Ze śmietaną, tak, obficie.

— Słucham pana. A co potem?
— Nie jestem przy apetycie...
— Może kurczątko z kompotem?
— Wolę już pieczeń wołową
Z rożna, wiesz, na wpół surową,
Przerastałą należycie.

— Jest, proszę pana... Co jeszcze?
— Nie jestem przy apetycie...
— Może lin, węgorze, leszcze...
— Rybka ujdzie, byle tłusto

Więc lin, z duszoną kapustą.
Po rybce — połówka kaczki.

— Rozumiem. A co na wety?
— Na wety... zwykłe przysmaczki.
— Może strasburskie pasztety?
— To, to, to... Ach! nędzne życie!
Nie jestem przy apetycie!

Mikołaj Rodoć.

Z Fraszek.

Panowie! Prawda? — Raj byłby ze świata,
Rozkoszny spokój owładnąłby duszą...
Gdyby, ach, nie te głupie systemata,
Które dowodzą — że głodni jeść muszą.

*

Człek myślą sięga nieba,
Ku ideałom kroczy...
Stawia się kwestya chleba,
I drwi zeń w żywe oczy.

*

Wiarę, nadzieję, miłości porywy,
Godziny marzeń, słońca i zachwytu...
Wszystko mi wydarł los nielitościwy
Wszystko mi wydarł, prócz — apetytu.

Mikołaj Rodoć.

Wierni zasadzie!

Wielcy my niegdyś byli i wspaniali,
Gdyśmy łokciami zjadali kiełbasy,

Kufami piwo w chciwe gardła lali,
Na tłustych brzuchach popuszczali pasy.

Królewskiej godni byliśmy purpury
Gdy „łokieć, miarka“ były stanu zdradą,
Gdyśmy leżeli brzuchami do góry,
A nic nie robić było nam zasadą.

Dzisiaj — godziny w żałobie nam płyną,
Z zdradliwej losu wypadliśmy łaski —
Więc kieliszkami tylko pijem wino,
A miasto kiełbas — zjadamy kiełbaski...

Jednośmy przecież wynieśli z rozbicia,
Chociaż i głód nas i pragnienie łechce,
To, żeśmy wierni dawnym hasłom życia,
Że nam jak dawniej — nic robić się nie chce.

Franciszek Konarski.

Co kto lubi?

Czy lubisz, droga, zdala dźwięk muzyki
Załosny, smętny lub drzący i dziki?
Lubisz wśród boru te słowicze trele
Lub głos organów we wiejskim kościele?

Czy lubisz nocą, kiedy wśród marzenia
Dolecą zdala harmonijne pienia?
Lub chór orkiestry wspaniały i wielki
Czy lubisz powiedz?
— Ja lubię... serdelki...

Paweł Kośmiński (Paul de Cos).

Siostrzeniec i wujaszek.

Wujaszek co od trunków miał czerwony nosek
Małemu siostrzeńcowi taki zrobił wniosek:
„Jedz chleb — dostaniesz pięknych, czerwonych rumieńców
Bardzo ładnej ozdoby dla wszystkich młodzieńców".

Uwagi sprawiedliwe zawsze dobrze służą —
„Musiał drogi wujaszek wąchać chleba dużo
Bo nosek u wnjaszka, jak burak czerwony",
Odpowiedział siostrzeniec radą nauczony.

Świderski Faustyn (Ex-Bocian).

Sonet wielkanocny.

Gdym zajadał prosiaczka, pot ścierając z czoła,
Ujrzałem ją wśród stosu kiełbas, jaj i szynek:
Spożywała salceson, wsparta o kominek
Oczu błyskawicami rzucając dokoła.

W każdym kęsie wędzonki oczy te widziałem
I wówczas, kiedy pulchne krajano mi baby
I wtedy, gdym odkrywał mazurków powaby
I wtedy, gdy przed sobą przekładańca miałem.

A wreszcie jedząc — cielęcinę z chrzanem!
Lecz gdy z gracyą kieliszek wychyliła do dna
Udławiłem się — patrząc na to — marcepanem.

Ślicznotka! Z jakimż torty połykała smakiem!
Więc choć już byłem syty i ona niegłodna
Zjedliśmy na połowę jeszcze... placek z makiem.

A. Barański.

Bajka.

Mówił arak de Goa do rumu z Jamajki:
— O twojem pochodzeniu rozpuszczają bajki
— Siedź cicho — rum odrzecze — trunku bladolicy,
Wszakże nas obu w jednej robiono piwnicy.

Na to cognac co nosi Martela przydomek:
Uściskajmy się, bracia, bom ja też wasz ziomek!
I ta omszała flasza starego Węgrzyna
I ten szampan, ten portwein, to jedna rodzina
I wszyscy się z prozapii wywodzim jednakiej,
Bo pływały w nas niegdyś wiślane szczupaki.

Rubel i bułka.

Rubel, leżąc przy bułce pysznił się okrutnie!
Bułka, patrząc, iż dumny, tem go słowem utnie:
— Spuść nos na dół! Przeminął czas twój, srebrny panie!
Niebawem się za bułkę — dwa ruble dostanie.

Sztuka mięsa.

Z czarnym okiem, kruczym włosem
Była ona śliczna
Każdy mówił zgodnym głosem:
„Jakaż apetyczna“!

Ponad wszystkie mi kobiety
Najdroższą się stała
Apetyczna! — lecz niestety
I apetyt miała.

Pijąc szampan przedniej marki
Kiedy w zapał wpadła

Wkrótce moje dwa folwarki
Na zakąskę zjadła.

Łykała jak wydra ryby
Mnie i grosz bez liku
Ażem stał się przy niej niby
Sztuka mięs... bez szpiku!

Antoni Orłowski (Krogulec).

Pochwała wsi.

Wsi spokojna, wsi wesoła
Gdzie się włóczę w kątek z kątka
Jakże ciężko, w pocie czoła
Ty pracujesz dla żołądka.

Ledwie człowiek zjadł śniadanie
Obiad cieszy mu humorek
Od obiadu ledwie wstanie
Już go cieszy podwieczorek.

Czy to lato, czyli zima
Ciąglę idzie praca zbożna
Jest okazya, czy jej niema
W każdej porze zjeść coś można.

Wsi spokojna, wsi wesoła
Jakże miło wśród twych grządek
Aż żal bierze, że człek zgoła
Tylko jeden ma — żołądek!

Antoni Orłowski (Krogulec).

Na wsi.

Wsi spokojna. wsi wesoła
Ciebie chwalę pod niebiosa

Rano spędzam muchy z czoła
Wieczór — spędzam muchy z nosa.

Ze swobodą niezrównaną
Dni i noce mile cieką
Mleko słodkie pijam rano
Wieczór pijam kwaśne mleko.

Oko błądzi gdzieś w parowy
I ma wrażeń moc obfitą
Rano widzę żyto, krowy
Wieczór widzę krowy, żyto.

Pan polować chce na słonki
Pani pragnie łowić ryby
Gdy pogoda — na poziomki
W słotę idziem zaś na grzyby.

Z przyjemności człek szaleje:
Chcę wycieczkę zrobić małą.
Wierzchem? — nie, ko koń kuleje,
Bryczką? — koło się złamało.

Ktoż się, moja wsi kochana,
Twemi córy nie zachwyca?...
Kaśka brzydka jak Pastrana,
Baśka — stara czarownica.

Dobry obiad, podwieczorek
Wnet rozpędzą twą zgryzotę:
Mięso miewasz w każdy wtorek,
A chleb świeży co sobotę.

Kiedy wspomnę polędwicę,
Gospodyni śpiewa cienko:
„Może pan chce jajecznicę,
Albo jaja też na miękko?“

„O nie, pani“ — zadumany
Rzeknę do niej wzniośle, hardo:
„Racz mi pani dla odmiany
Zrobić jaja dziś — na twardo“.

Kazimierz Bartoszewicz.

3.

WIEK DWUDZIESTY

a) Przed rokiem 1914.

Oda do butelki.

Na świecie naszym żyć jest niemiło
Zmartwień i smutków nawał tak wielki
Że człek by zginął, gdyby nie było
Butelki.

Zrozumiał prawdę tę oczywistą
Noe, co pono mądrym był wielce
I ukojenia cierpień swych szukał
W butelce.

Odtąd butelkę byle nie próżną
Szanuje naród i człowiek wszelki
Przez życie całe mu towarzyszą
Butelki.

Kiedy ma żonkę wieść do ołtarza
Miłą i słodką, jakby karmelek
Do aktu tego czerpie odwagę
Z butelek.

Już gdy się rodzi niewinny, mały
Niby bez pierzy szary wróbelek
Papa z radością wynosi szereg
Butelek.

A gdy się żonka, zwykłą koleją
Na czarownicę zmieni z karmelka
Po kłótniach w domu jest dlań balsamem
Butelka.

Kiedy okrutny los człowiekowi
Nielitosnego spłata figielka
Siłę mu daje na dalsze życie
Butelka.

Gdy go zdradzają figlarne, płoche
Marynia, Zosia albo Anielka
Serce zranione wtedy uleczy
Butelka

Kiedy mu płótno wyjrzy z kieszeni
Skąd wyfrunęły wszystkie rubelki
Rozpacz ukoić mogą jedynie
Butelki.

A gdy śmierć w serce jego zatopi
Szpony swe ostre, niby widelce
Na stypie każdy szuka pociechy
W butelce.

Sądzę, że nawet, gdy na sąd straszny
Głos Archanioła wezwie go wielki
Człek zmartwychwstały będzie wpierw szukał
Butelki.

A więc za taką życzliwość szczerą
Za tyle usług korzystnych wielce
Zupełnie słusznie cześć się należy
Butelce.

O niechaj świat mnie obrzuci błotem
Niechaj mnie nazwie hetką-pętelką
Jeżeli kiedy porzucę ciebie —
Butelko!

Antoni Orłowski.

W knajpie „pod syreną“.

Doskonale zna Warszawa
Zacną knajpkę „pod syreną“
Tam się gada z animuszem
Oraz pije z wielką weną.

„Pod syreną“ nie są w cenie
Szumne blagi, modne szychy:
Stare meble, stare ściany
A na ścianach stare sztychy.

W głębi izby zadymionej,
Pod brudnemi kuchni drzwiami,
Nęcąc oczy i żołądki,
Stoi bufet z przekąskami.

Za bufetem sprzęt nad sprzęty,
Pełna flaszek szafa wielka,
Przy niej czuwa nieustannie
Sama knajpy właścicielka.

II.

Właścicielka co ma zdawna
Nazwę „ciotki Magdaleny“,
Nie oznacza się zupełnie
Podobieństwem do syreny.

Zato kuchnię jadłodajni
Reklamuje świetnie ona.
Tryska zdrowie z jej postaci,
Jest pękata i czerwona.

Do usługi licznych gości
Są w zakładzie dwie dziewice —
Obie pulchne mają kształty,
Oraz wdzięczne mają lice.

Znajomemu kundmanowi,
Dając kufel pełen trunku,
Nie obrażą się za uścisk
Nie odmówią pocałunku.

III.

Wieczór miasto mgła otula
Bladem światłem gaz się pali —
W jadłodajni „pod syreną“
Siedzą tłumnie goście stali.

Brzęczą kufle i kieliszki,
Wre gawędka ożywiona,
W kłębach dymu połyskuje
Gospodyni twarz czerwona.

Przy stolikach ciągną piwo,
Staromiejskie przednie typy
Na ulicę płyną śmiechy
I rubaszne mkną dowcipy.

Wśród *kundmanów* się krzątają
Dwie dziewice, dwie syreny,
A na wszystkich patrzy czujnie
Oko „ciotki Magdaleny“.

IV.

Już dwunasta na zegarze,
W knajpce zwolna lampy gasną,
W głowach gości pod syreną
Także nie jest bardzo jasno.

Nawpół drzemiąc przy stolikach
Siedzą szewcy i stolarze,
W rembrandtowskich toną cieniach
Chwiejne głowy, senne twarze.

Za bufetem gospodyni
Zysk oblicza całodzienny,
W kącie izby sam do siebie
Jakiś kundman mówi senny.

Już ostatni gość się żegna
Z grubą „ciotką Magdaleną“
Jutro wszyscy przyjdą znowu
Pić i gadać „pod syreną“.

Or.-Ot.

*
*   *

Mówiła o duszy w przekroju
O duszy czystej i nagiej
A potem, pełna nastroju
Wybrała z karty...

Szparagi.

Z kolei w bezmiarze natchnienia
Jak gdyby w symbol zaklęta
Dotknęła mego ramienia
Szepcząc:

„A teraz — *kurczęta.*

Na koniec zwiesiwszy swą główkę
O poetycznych oznakach
Zrobiła lekką przymówkę
Żebym pamiętał...

O rakach.

Kazimierz Laskowski (El).

Grzybki.

Jak już wiecie — piękne panie
Rad wam służę od kolebki
Jesień blizka... grzybobranie...
Oto przepis jest na „grzybki".

Jedna z pierwszych rad na wstępie:
Zastosować system szybki
Grzyby rosną w szybkiem tempie
Póki pora, przyrządź grzybki.

Obierz, opłócz, posól hojnie
Daj korzeni, jak do rybki —
Gdy postoją tak spokojnie
Warkim octem zalej grzybki.

Gdy gotowe, daj wieczorek
Z wintem (choćby bez przysypki)
A mąż będzie, jak amorek
Gdy do wódki podasz... grzybki.

Wzgardzi wszelkiem posiedzeniem
Przyjacielskie rzuci bibki —
Będzie w domu tkwił kamieniem,
Mając... ciebie, mając... grzybki.

Gdyby jednak skrewił czasem
(Nie rób, proszę, min Ksantypki)
Zamiast napaść nań z hałasem
Na dwa spusty — zamknij grzybki.

Wtedy zaraz dudy w mieszek
Z innej zacznie nucić skrzypki
Będzie żebrał o uśmieszek
O całuska i o .. grzybki!

Ty zaś przebacz mu wspaniale
Zawsze górą są przylepki.
Rozchyl wdzięcznie ust korale
I na deser podaj — grzybki.

Kazimierz Laskowski.

Arcypiernikarz.

Wonie cytryn i pomarancz
Czar wanilii, słodycz cykat
Aromaty i delicye
Arcyprzedni nadfabrykat.

W ustach się rozpływa mile
Smakołyków protoplasta:
Nadpierniki, nadsucharki.
„Nadptifury“... arcyciasta.

Zwłaszcza słodycz jest w całuskach:
Wonie róży, miód i mleko
Po ten przysmak tłumy suną
Jakby miasto było Mekką.

Widzę w mym proroczym duchu
Przyszłe losy Jarosławia,
Widzę pomnik, który imię
Arcypiernikarza wsławia.

Pomnik cały jest z piernika
Cokuł: wierny obraz ula,
Sztukaterye z marcypanu
Napis: „Pomnik dla Gurgula“.

Ignacy Nikorowicz.

Pommery.

Wtedym uwierzył, że prawda *in vino*
Jest, jako dwa, a dwa jest cztery
Kiedy przy stole zasiadły partnery
Bridge'a, kanonik powstał z gęstą miną
Z kielichem i rzekł: Choć tam inne słyną
Nullus est salus extra Dry-Pommery.

Adolf Nowaczyński.

Obżarstwo.

Gdybym rzekł, że się obżerasz
Skłamałbym i to zbyt śmiesznie
Zrobię tylko ten komeraż
Że się lubisz żywić grzesznie.

Pożądliwie nazbyt łykasz
Rozperlone ostryg brzuszki
Gdy z rakami się spotykasz
Aż ci do nich drżą paluszki.

I podajesz w moc szatana
Wszystkie władze mojej duszy,
Kiedy wina słodka piana
Ust twych róże szronem prószy!

Z „Erotyków". *Józef Weyssenhof.*

Odezwa do brzuszka na przewodnią niedzielę.

O brzuszku, brzuszku ty mój kochany
Ileż wdzięczności jam winien tobie;
Tyś dziś zmęczony i spracowany
Nawet odpocząć nie możesz sobie.

Dużoś już zrobił, brzuszku poczciwy,
Lecz kto stosunki — jak ty posiada,
Komu jak tobie — świat jest życzllwy,
Tego znów czeka praca nielada.
Porachuj tylko brzuszku jedyny,
Ile masz jeszcze domów przed sobą?
Ile w nich ciasta i wieprzowiny
Czeka na stołach ciągle za tobą?
Ty kochasz ludzi mój dobry brzuchu,
Więc nie upadaj proszę na duchu,
I pakuj w siebie — co ci podają.
U państwa Protów, dnia dzisiejszego
Ma być półgłówek podobno gotów,
Ty lubisz główkę z wieprza tłustego;
Więc złoty brzusiu pójdziem do Protów.

U pana Jana gdzie żonka młoda
I gdzie gościnność aż nadto znana,
Węgrzynek stary, jak miód jagoda:
I cóż ty na to? — Chodźmy do Jana.
U cioci Lodzi pasztet z truflami,
Taka potrawa — zdrowiu nie szkodzi:
Ty lubisz brzuszku, pasztet czasami,
Więc wiesz co serce? — Chodźmy do Lodzi.

Pani sędzina jaką ruladę
Robi z prosiaka — to nie są kpiny!
Cóż myślisz brzusiu? Czy dasz ty radę?
Jak masz ochotę, chodź do sędziny.

Pan Andrzej prezes, znasz się z nim przecie,
Takiego dostał koszyk Xeresa,
Co podróżował po całym świecie:
Więc co brzuszeczku? Chodź do prezesa.
Podobno Edzio co żyć potrafi,
Sprowadził sławną szynkę z niedźwiedzia;
Taki rarytas rzadko się trafi,

Trzeba skorzystać — chodźmy do Edzia.
Doktorzy może wykrzykną razem,
Że brzuch nasz nie wart będzie i fenia!
Bądźcie spokojni! — Nam przejdzie płazem,
Nie darmo mamy brzuszek z kamienia.

Włodzimierz Pląskowski.

„Non in vino veritas“.

O ty, który lub która
Widzisz prawdę w winie,
Że śmiem inaczej myśleć
Daruj mojej winie.

Niech mi będzie łaskawie
Ten grzech przebaczony,
Że przezemnie winogron
Sok jest mało czczony.

Wybaczcie! Przekonaniem
Nie jest mem niezbitem,
Że to, co kupcy tworzą,
Musi być wypitem;

Że laboratoryjny
Ciał chemicznych związek,
Nazwany winem, pić jest
Święty obowiązek.

Choć tem sobie kupieckich
Względów nie zaskarbię,
Wyznam, że nieraz wino
Smak ma... dzięki farbie.

Wybaczcie kupcy, ale
Stronnikiem nie jestem

Wina, które się z wodnym
Zapoznało chrzestem.

Wino, które w dzisiejszej
Galilejskiej Kanie
Rozmnaża kupiec bardzo,
Pić jest opłakanie.

* * *

Wiem, wiem, że mię te słowa
W oczach waszych plamią.
Lecz powiadam, że wina
Neofickie kłamią.

Pijąc dziś chrześcijański
Trunek ten z Emmaus
Lub z Kany, czujesz, że w nim
Fałsz — *in vino fraus.*

Choć nie za Mahometem,
Ani za Kalwinem,
Powtarzam: źle jest takiem
Upajać się winem.

I choćby mieli spalić
Kupcy mię, jak Hussa,
Powiem, że chrzest niezgodny
Z kultem jest Bachusa.

Dawniej, gdy znajdowali
W winie szał poganie,
Mógł żadnej nie podlegać
Trunek ten naganie.

Ale dziś znajdujemy
W winie zgoła nie szał,
Jeno to, co z Emmaus
Kupiec doń domieszał.

Ponieważ dzisiaj prawda
Nie mieści się w winie,
Rad więc człowiek, jeżeli
Od win się wywinie.

Ponieważ psuje wino
Kiprów nam domieszka:
Nie w upojeniu trunkiem
Prawda dzisiaj mieszka.

Gdzież więc? Niech wam tu słowa
Same się nawiną:
Nie w winie dzisiaj prawda
Lecz w prawdzie jest wino.

Ojcowie nasi, marząc
O sławy w wawrzynie,
Wojowniczy animusz
Czerpali w węgrzynie.

Więc chociaż i wygrana
Była w szale bitwa,
Do dziś ma katzenjammer
Korona i Litwa.

Nie będziemy się my dziś
Trunkiem pocieszali
Takim, który ma na dnie —
Zamiast prawdy — szalej.

Naszych ojców to było
Kardynalną winą,
Że zanadto krzyczeli:
Veritas in vino!

Ale my? my się rządźmy
Innem rozumieniem

I niech prawdy moc będzie
Dla nas upojeniem.

Jan Lemański.

Ferye.

Na wsi, procul negotiis, człek — od trudów zdala —
Pędzi życie na obraz w Kapui Hannibala.
Wstawszy nie bardzo wcześnie i odziawszy ciało,
Je śniadanie. Ma wszystko, czegoby się chciało:
Herbata jest, jest kawa, z śmietanką kożuszek,
Masło, chleb, ser, bułeczki... Jedz, napełniaj brzuszek,
Jest i miód, który własna dostarcza pasieka.
Człowiek te dary boże całą gębą sieka,
I swój ustrój doczesny, ile sił ma, pasie
Tak, że coraz to więcej, niźli miał ma w pasie.
Po śniadaniu zabiera się człek do przechadzki;
Do obór, stajen, stodół zwraca krok nie chwacki,
Na stan pszeniczek w polu popatrzał i żytek,
I taki do południa z czasu ma użytek.
Obiad: Zupa — ideał; wymarzone mięso;
Jarzyna — boska, jesz ją, aż się uszy trzęsą.
Po talerzach stukają noże i widelce,
Kieliszki dzwonią... Ciasno piersiom w kamizelce,
Pani domu, dziedziczka przytomna i rzutka,
— Niech pan dobierze — prosi — kawałeczek udka.
Pan zamało kartofli wziął. Nadzionka może?
Józiu podaj półmisek. Sama panu włożę.
O ten tu kawałeczek dla pana stworzony.
(Ach, jakże to rozkosznie mieć kawałek żony.)
Po mięsach na stół wjeżdża półmich z leguminą.
— Proszę! — prosi dziedziczka z uśmiechniętą miną —
I tak ku temu jadłu twój apetyt łechce,
Że bierzesz, bierzesz, bierzesz, chociaż ci się nie chce.
. . . .

Owoce, czarna kawa. Zapalasz papieros
Ogarnia cię — po grecku powiedziawszy — Eros.
Czujesz, że kochasz byt do czubka od odziemka,
Czujesz, że, że... nastaje poobiednia drzemka.
Spać zdrowo, gdyś się najadł, nie jest, lecz marzenie
Samo pcha cię ku łożu nieprzezwyciężenie.

. . . .

Przespał się. Już na stole podwieczorek czeka.
Jest, co tylko zapragniesz, prócz ptasiego mleka.
Konfitury przez panią w cukrze są smażone...
(O! jakże jest szczęśliwy człek, który ma żonę!)
Niech pan raczy — zaprasza — dobrać tych porzeczek.
Dobierasz, bo nie lubisz mieć z żonami sprzeczek.
Teraz trochę winogron? Jeszcze tych malinek?
Wziąć, czy nie wziąć? Przystajesz i na ten uczynek.
Po podwieczorku spacer furą drabiniastą.

. . . .

W tych refleksyach i innych wóz staje przed domem.
Wchodzimy do jadalni. Kolacya na stole.
— Pozwoli pan potrawki z pulardy? — Pozwolę.
— Jeszcze udko? — dziedziczka błagająco zerka —
Niech pan dobierze sosu! Józiu, sosyerka!
Niechże pan będzie łaskaw jeszcze kawałeczek!
Jesteś łaskaw, bo nie chesz mieć z żonami sprzeczek.

. . . .

Jesteś w swoim pokoju. Pytasz się z westchnieniem:
Czemu się na wsi człowiek staje takim leniem,
Który tylko pokarmy gryzie i połyka?
Czemu nas tak skrępował Bóg w rozkoszy łyka?
Czemu stworzeniem pragnąc czystem być i białem,
Musisz się naopychać mięsem i nabiałem?

Jan Lemański.

Dobry uczynek.

Par tanecznych cudny szereg:
Polka, mazur, walc, oberek.

Kręci się w czarownym kole —
Tan na ludu głód, niedolę.

Perfum zaduch, dech kobiecy,
Na rzecz więzień i fortecy,

Na tych biednych duszą całą
Dobroczynne tańczy ciało.

Oczy — gwiazdy, lica — róże,
W polkach — ogień, szał — w mazurze.

Stop! Kolacya. Szereg wódek
Pijesz na ten biedny ludek.

Łzy nad społeczeństwem chorem
Lejąc, bułkę jesz z kawiorem.

Zupa. Polski barszcz podali,
Jesz go: jesz na rzecz szpitali.

Pasztet jesz na rzecz podrzutków,
Mózg—dla szkół; drób—dla ogródków

I kapustę jesz brukselkę
Na niedole nasze wszelkie,

Na przytułki i na żłobki
Ze Strassburga jesz wątrobki.

Dobrze czyniąc biednej dziatwie,
Pierś ogryzasz kuropatwie.

Z kremu wjeżdża legomina:
Niech korzysta biednych gmina.

Potem lody. Jesz te lody,
By uśmieszyć biednych głody.

Serów bukiet jesz na finisz,
Ćwiczysz smak i dobrze czynisz.

Smakowite pić likwory
Dobrze jest na ludek chory.

(„Czyn“). *Jan Lemański.*

Wojna i pokój.

Pił z gorączki przed wojną,
Pił z febry na wojnie,
A gdy pokój zawarto,
Dziś — pije spokojnie.

Jeśli chcesz komentarza
Pod tej bajki tekstem,
Wiedz, że wojna i pokój
Jest picia protekstem.

Jan Lemański.

Kawior i cytryna.

U kupca korzennego
Wyjątkowe pustki.
Słychać, jak sam liczebne drewienka przemyka
Z klekotem, rzekłbyś — Turek oczka różańcowe,
I czeladnik na szaber sieka cukru głowę,
W przerwach nos operując, bez użycia chustki.
Że ustały chwilowo gwar i krętanina,
Kawioru antał, tudzież cytryna,
Gwoli zabicia czasu polityką,
Dały folgę językom.

Czemuż to — pyta Kawior — imć pani Cytryno,
Kwaskowatą mi niechęć okazujesz miną,
I tak pienisz się na mnie, gdy z ciebie wystrzyka
Na moje ziarna sok kułak kupczyka?
— Boś mi nie brat: mnie w ciebie wżyna siła pięści.
— Ot bajesz — na to kawior: — społem i ty i ja
Służymy w dziale brzucha po jadalnej części;
Oboje mamy zaród, co życie rozwija
Oraz podsyca:
Ty kwaśne, a ja przaśne — ot cała różnica...
— Ależ... — Nie, pozwól: bo nawet i z lica
Żółtaś jako samowar, z którym pokrewności
Swej ci dowieść najprościej,
Gdy wątpisz, mogę. Bynajmniej, ale uważ, laso,
Że mi cierpko to krasić, czem sobie brzuch pasą:
Tobie zaś jeno graj w to, kiedy cię pochłoną
Jelita. Boć też, słyszę, pono
Kolebką twą — patrochy
Ryb... — Daj słowo rzec. — Nie, pozwól, że skończę:
Ryb, mówię, wyłowionych z wód Wołgi lub Ufy.
Mą ojczyzną — Włochy,
Matką — ziemia latyńska, a ojcem mi słońce.
Tam wolna dojrzewałam w powietrznym lazurze...
Ty tego czuć nie możesz, więziony od kufy,
Nie wiesz, co szafir nieba, co świtania róże,
Co blaski dnia, gdy płoną, co gwiazdy, gdy bledną.

— Hm — Kawior zaharkotał — nie trafia mi w sedno
Twój rezon i wszystko to — mucha.
Rzecz główna, powtórzę:
Jednej służym oboje sprawie, a tą — sprawa brzucha.
I to ci powiem, że już jeżeli,
To chyba to nas dzieli:
Iż ja składam się w jedno, chociaż z mięszaniny
Ziarn tylu ryb; wy zaś kwasoczyny,

By was milion wziąć razem, zawszeście — cytryny,
Nie ma w was tej polewy, tego przylegania,
I dla tego mi wasza za przyprawę służy
Brać lacka, czy latyńska — mnie z pod Astrachania.
Tu się obruszy Cytryna w kobieli:
— Tak, dla ciebie jesteśmy przed czasem dostania
Strącone, lecz gdybyśmy powisiały dłużej,
To podobnie może winnym gronom,
I nas, dojrzałych zupełnie, likwor by sycono,
Do którego by kawior zakąską był święcie...
Widzę, żeś marzycielka.. Ha, gdy ci z tem lepiej
Marz sobie, a tymczasem soczek twój mnie krzepi.
Tu łza cierpka wysączy się z cytryniej skóry.
Ach to mnie właśnie boli nad pojęcie,
Że sok mój wytłaczają kawiorojady,
A nie synowie owej ziemi, której
Złociłam sady,
Ziemi skąd wzięłam życie, ziemi wolnej,
skądem . . .
Tu chce mówić dalej,
W tem weszła panna Zuzia po kupno bakalij,
Cukru, kawioru, cytryn i wina — na fundę;
A kupiec, czujnie słysząc, jak ci rozmawiali,
W trwodze, aby Cytryna tęsknej myśli trądem
Nie zaraziła reszty, leżących z pokorą,
Sprzedał ją owej pannie za groszy ośmioro.

(Z „Baśni o prawdzie“.) *Jan Lemański.*

Koszyk jabłek.

Oczom miły i ustom wyborna uciecha
Owoc ścięty co słodko wargom się uśmiecha.
Chwalą jeden gdy piękny — wielum nie łakomy.

A że dziś wieczór koszyk pleciony ze słomy,
Pełny jabłek tak szczęsnej dodał mi ochoty
Że zmierzch mi się jaśniejszy zdaje, niż dzień złoty:
Nie sprawił tego owoc złoty i różowy
Jeno ślad na nim drobny, znak tajnej umowy.
Bo mątka mojej miłej doszedłszy z nienacka,
Iż codzień wieczór z domu wywabia ją schadzka,
Zamknęła ją przy krośnie w izbie, a zasuwa
Drewniana nad niechętnem posłuszeństwem czuwa.
Lecz gdy zajęte oczy i dłoń, która ściegi
Tka barwne, myśl miłosna wolna śni wybiegi:
Uwięziona otwarła swoją wonną skrzynię,
Gdzie wśród szatek śpią jabłka; jabłkom na łupinie
Nagryzła ślady zębów, jak perły różańca
Równych; pod oknem czekał jabłek cień wysłańca,
By mi od nieobecnej przyszłej w naszej porze,
Miast pocałunków, których przysłać mi nie może.

Leopold Staff.

Z badań etnograficznych.

Kiedy skwar letni z domu cię wygoni
Kiedy porzucasz miejski bruk i pył —
To na to, żebyś wśród światła i woni
Wiejskiem powietrzem choć przez chwilę, żył,
Przyrodzie oddawał cześć!
— W Polsce inaczej — w Polsce jedziesz na wieś
Ażeby jeść!

Juliusz Starkel.

b) Po roku 1914.

Laleczka z cukru.

Poeta pewien, bogacz
(Ach, bo i to się zdarza!)
Zakupił lalkę z cukru
W sklepiku u kramarza.

Darzyła go uczuciem
Najsłodszem i najszczerszem.
A on jej wszystkie wdzięki
Klasycznym głosił wierszem.

Lecz szczęście jest nietrwałe,
Gdy z cukru jego nacya.
W sielankę ową wdała
Się wnet aprowizacya.

Zabrakło cukru w mieście
Poeta zaś był smakosz.
Jakoż mu żyć w goryczy,
Bez cukru żyć mu jakoż?!

Napróżno korzennikom
W żołądku otwór wierci:
„Ach dajcie choć ćwierć funta,
Ach dajcie choć pół ćwierci“!

Nie dostał go ni w kostkach,
Ni w proszku ani w głowie!
Tacy to nieuczynni
Są u nas ci panowie.

Rzekł więc z przekąsem lalce:
„Ty cała jesteś z lukru
Ja — kawę dwa tygodnie
Pić muszę już bez cukru.

Szczęście byś dać mi mogła
Cieniutką swą pończoszką.
Zostaniesz wprawdzie bosa,
Lecz będzie mi mniej gorzko!"

Nazajutrz — nieco słodszy:
(Ach, oszust nad oszusta!)
„O! jakie ty mieć musisz.
Powiada — słodkie usta!"

I niby tak go nęci
Ich urok — nóżka bosa...
Przybliżył się i nagle
Odkąsił jej pół nosa.

Choć brzydki jest postument
Z jedyną dziurką w nosie
Herbata była słodką,
Jak nigdy. — „Ha stało się!"

Codziennie tak potrosze
Z niej zjadał (niecny złodziej!)
Stwierdzając raz za razem
Że jest mu coraz słodziej.

I wkrótce, ach niestety!
Ze słodkiej tej figurki
Zniknęły miejsca pełne,
I te gdzie były dziurki.

Tak szczęście jest nietrwałe.
Gdy z cukru jego nacya
A zwłaszcza, gdy w nie kiedy
Się wda — aprowizacya.

Jan Gella.

Tydzień krakowskiego obywatela.

Zaczynasz go w poniedziałek:
Dzień cały człek się wałęsa,
Zdobywa jatki, jak śmiałek,
By nigdzie nie dostać mięsa.

Wtorek — bezmięsnym jest dzionkiem.
Czas trwałej z domem rozłąki;
Stajesz za długim ogonkiem,
By nikt ci nie sprzedał mąki.

Środa — pociesza odmianą,
Nadzieja jeszcze nie zgasła:
Wybierasz się wcześnie rano,
By nigdzie nie znaleźć masła.

Czwartek — cierpliwość ustaje,
Anemii odczuwasz ciemnie,
Chcesz zdobyć choć jedno jaje:
Daremnie, bracie! — daremnie!

W piątek — to samo cię czeka,
Czy dzieci w domu są, czy nie:
Kropelki nie znajdziesz mleka,
Odniesiesz próżne naczynie.

Sobota... dreszczyk i mrowie,
Nowina: o wielkie nieba!!
Że dzisiaj w całym Krakowie
Nie dadzą kruszynki chleba.

Gdy się tak karmisz, mój synku,
Tydzień z próżnego korytka:
W niedzielę dla odpoczynku
Wyciągnąć możesz kopytka.

Zdzisław Kamiński (Kazet).

Jadą tabory...

Jadą tabory
Pełniutkie wozy
Tabory, tabory, tabory, hej!

Nie myśl w potrzebie
Że to dla ciebie
Żołnierzu, żołnierzu, żołnierzu, hej!

Na samym przedzie
Intendant jedzie
Morowy, opasły, okrągły, hej!

Żołnierz przymiera
Głód mu doskwiera
Tabory, tabory, tabory, hej!

Żołnierz się bije
Intendant tyje
Tabory, tabory, tabory, hej!

Furmanów chmara
Pali cygara
Tabory, tabory, tabory, hej!

Żołnierz się zżyma
I „prymki“ niema
Tabory, tabory, tabory, hej!

(Pieśń 1 brygady Legionów).

Pieśń o trzech cytrynach.

Rzecz się stała niepowszednia
ho-ho-ho
Gdy pan burmistrz wrócił z Wiednia
ho-ho-ho

„Ciągle na mnie psy wieszają
ho-ho-ho
Więc kupiłem niech mnie znają!“
ho-ho-ho.

Gdy gromadzić trza zapasy
ho-ho-ho
Na zimowe ciężkie czasy
ho-ho-ho
Wkrótce będzie więc na stacyi
ho-ho-ho
Transport dla aprowizacyi!
ho-ho-ho.

Co tu tego! co tu tego!
ho-ho-ho
Nie naliczył-by wszystkiego
ho-ho-ho
Ciągną pociąg dwie maszyny
ho-ho-ho
Wiozą dla nas trzy cytryny!
ho-ho-ho.

W ratuszu długo myśleli
ho-ho-ho
Jak cytryny się obdzieli?
ho-ho-ho
Jedną sprzeda się na deka
ho-ho-ho
Druga niech do wiosny czeka!
ho-ho-ho.

Trzecią chcą wziąć hurtownicy
ho-ho-ho
Krzyczą drobni grajzlernicy
ho-ho-ho

Sklepy miejskie się starają
ho-ho-ho
I Tomicki dla tramwaju.
ho-ho-ho.

Dyrektor aprowizacyi
ho-ho-ho
Zjadł pół trzeciej do kolacyi
ho-ho-ho
Pół zaś schował do szuflady
ho-ho-ho
Zrobi sobie limonady.
ho-ho-ho.

(„Z Maryonetek wojennych“).

St. W.

Lament kucharki.

Co bądź się dzisiaj u nas gotuje
Co bądź się kładzie do garnka
Darmo się szasta, biega do miasta
Kucharka.

Gdzieście zniknęły smaczne obiadki
Befsztyczek, indyczek, langusta?
Dzisiaj uchodzi za przysmaczek rzadki
Kapusta!

Upadła całkiem kuchenna sztuka
I dawnych przepisów wymogi
Robię na obiad, robię na kolacyę
Pierogi.

Miło ło było zjadać frykasy
Bażanty, kompoty z pulardą
Dziś trzeba prosić o deko kiełbasy
Z musztardą!

Wszak przyrządzałam dawniej doskonale
Pasztety, filety, kotlety
Dziś za to można siedzieć w kryminale
O rety!...

Wojenne abecadło.

A. B. C.
Chleba chcę.
Lecz też wiedzieć mi się godzi.
Jak wojenny chleb się rodzi?

D. E. F.
Naprzód siew.
Rolnik orze ziemię czarną
Wzięto mu na zasiew ziarno.

I. G. H.
Coś tam ma.
Komisyoner wlazł na pole
Żołnierz młóci zbiór w stodole.

J. L. K.
Centrala.
Rolnikowi trudy skraca
Zbożem sama już „obraca“.

M. N. O.
Zboże to.
Nimeście się obejrzeli
Gdzieś je zaraz dyabli wzięli.

P. R. S.
Nie tu kres.
Pojechały oziminy
Wróci otrąb i trociny.

T. U. W.
Piekarz tu.
Miesza plewy, mech, kasztany
Chlebuś będzie z nich cacany.

X. Y. Z.
Zjesz chleb wnet!
Ale patrz, byś z tych „domiszek“
Wnet nie dostał skrętu kiszek.

St. W.

Pieśń dziadusia preclarza.

Ból szarpie sercem, na płacz mi się zbiera
Z próżnym koszykiem człek się poniewiera.
I wy zapłaczcie, chwyćcie się za głowę:
Precle majowe!

Zapamiętajcie dobrze moją postać
Nie będzie można nigdy precli dostać.
Niech o preclarzu bajki prawią wnuki
Tak dla nauki.

Chodził se preclarz w różne zakamarki
I wyszukiwał po ławeczkach parki.
Bo gdy chce kochać jeden z drugim hycel
Musi mieć — „prycel“.

Dziś się nadaję chyba do muzeum.
Precel się nie da zrobić z linoleum
Trzeba zamiesić białą mąkę równo,
Nie czarne... plewy.

Ta straszna wojna, niech ją gęsi kopną,
Konkurencyję czyni mi okropną.
Zięć wrócił z wojny, z jakiejś *handgemetzel*
Skręcony w precel.

Gdy przyjdzie koniec czasu wojennego,
Znów mię ujrzycie w parku Kilińskiego
I usłyszycie radosną przemowę:
Precle majowe!

(Z „Maryonetek pokojowych“). *St. W.*

Szpinak z koniczyny.

Na myśl, co wkrótce będziesz jeść kochanku
Lęk i zdumienie serce twe przenika.
Kotlet z królika, herbata z rumianku
Kawa ze zboża, masło z słonecznika.

Ryż dziś zastawą królewskiego stołu
Pieczeć wołowa pokarmem krezusa,
O kilo cukru masz więcej mozołu
Niż o dziewczyny słodkiego całusa.

Mózg więc, nawyknięć wyłamując tryby
Wymyśla istną orgię surogatów.
Jeden poleca wam za pokarm grzyby,
Drugi nas żywić chce odwarem z kwiatów.

Pocóż przepłacać masz jarzynę w cenie?
Byleś się najadł bracie tak czy inak.
Przecież czytałeś w pismach ogłoszenie
Że z koniczyny robić można szpinak.

Potrzeba czyni człeka pomysłowym
Dałej na łączkę panowie i panie!

Lecz przy tym wikcie bezmięsno — majowym
Z człowieka wkrótce surogat zostanie.

Henryk Zbierzchowski.

Baba wielkanocna.

Wspominam mile błogie chwile,
Gdy otoczone zacnym gronem
Baby! — nadobne ich profile!
Ponętą były na „Święconem“.

Lekka, jak puchy Edredonu!
Któż tobą napasł się do sytu?!
Czyś już spuściła całkiem z tonu
I przeszła wręcz w krainę mytu?

O babo! — przecz cię wielbię, chwalę?
Przecz cię wysoko stawiam w cenie?!
Boś — boska! — nie mówiła wcale:
Kochając ciszę i milczenie.

Ty, mając czepiec lukrowany,
Co słodko podniebienie wzrusza
Nie znałaś sezonowej zmiany
I żądz nowego kapelusza!

Dlatego liczne w krąg aljanty
Wielbiły pulchne twe policzki,
Boś nie wiedziała: co brylanty,
Kostyumy, bluzki, rękawiczki!

O wizyo na wspomnienia niebie!
O białogłowo! wdzięczna, gładka!
Rozkoszą było schrupać ciebie
Kanibalicznie do ostatka!

Minęły dni Aranjuezu,
Musiałaś przejść w krainę bajek!
Nie będziesz się rozrastać w piecu,
Bo wojna, bo dziś brak jest jajek.

Darmo! — poprzestać trzeba na tem
Co jest i nie zachodzić w głowę:
Zastąpić babę surogatem
I na jej miejsce dać — teściowę.

Kazet.

Karnawał roku 1917.

„Grzeszniku, coś czcił bogi cudze przez zapusty
Szpetnie grzesząc obżarstwem i w swój kałdun tłusty
Pchając kiełbas i szynek, mięsiw bez miary i liku
Drzyj przed karą piekielną, popraw się grzeszniku!“
„— Przebacz Panie!“ Mieszkaniec Krakusa rzekł grodu
I pochyliwszy smutno głowę — umarł z głodu.

Ludwik Tomanek.

Święta roku 1917.

(Poemat gastronomiczny)

Od kiedy tylko pamięć pamięta,
Grudzień nad inne miesiące słynął:
Bym się z sąsiadem mógł skumać w święta
Stworzył Bóg wódkę, bakalie, wino.
Las zaopatrzył w dzikie zwierzęta,
Do których strzelać lubią mężczyzni...
Wszystko to niech dziś stół mój użyźni,
By — jak go kocham — wiedział mój bliźni.

O, Lwowianinie! Czyż nie pamiętasz,
Takich lat tłustych dziesięć, nie jeden!
Gdy w dom wciąż zjeżdżał nowy inwentarz,
A świat był niby spożywczy Eden!
Masarnia każda, jak zwierząt cmentarz!
A gdziem się tylko obrócił, miałem
Beczki zapchane miodem, nabiałem...
Kto nie kupował ten był cymbałem!

Ach! gdzieście, gdzieście te pyszne czasy,
Gdy się w taniości prześcigał kupiec!...
Gdyś do dom znosił szynki, kiełbasy,
I strucle, jakich dzisiaj nie upiec!
Kiedy z owocarń się ananasy
Śmiały do ciebie, jak do kochanka,
U „Merkurego" pachła palanka
I żyła jeszcze cykorya „Francka!"

Wtenczas toś sobie, jako pies w balii
Używał, żyjąc żywotem hrabii...
Owoce jadłeś boskiej Italii,
Kawę ci Riedel zwoził z Arabii,
Figę i inny zbytek bakalii
Dało Południe, bo rośnie tam on;
Muszkatel gałkę, pieprz i cynamon...
Wszystkoś miał, jeślić nie zabrakło mamon.

Gdzież cukiernicy grzeczni a tani,
Co sprzedawali ciasta bez wahań?
Gdzieżeś jest zacny trunku Szampanii?
Gdzie kawior, co mu rodem Astrachań?
Gdzież jest ostryga z cytryną na niej,
Co się ją jadło żywcem najmilej,
Jako przekąskę gdyśmy popili
W ten tradycyjny ranek Wigilii!

Pamiętam owe dni doskonale
Gdy każdy spieszył za swojem dziełem,
Szalejąc w różnych zakupów szale,
Bo Chrystus zrodzić się miał w Betleem...
W poście się żyło jak w karnawale,
Gdy jeszcze pośród ludzkiej czeredy
Nie znano wojny, kartek, ni biedy...
Ach, dobrze, dobrze było nam wtedy!

Na rynku pachły świerki i jodła,
Wszędzieś miał zbytek, gdzie okiem sięgasz...
Literatury gwiazdkowej godła
Wystawiał sobie za oknem księgarz...
I choć to branża — jak mówią — podła,
W dzień ten budziło się w nim sumienie
I, napychając złotem kieszenie,
Sto tylko procent podnosił w cenie.

Zasobna w tytoń czterech stron świata,
Trafika każda była jak seraj:
Najwyszukańszą wonią bogata!
Tylko przechodniu wchodź i wybieraj!
Stu marek miałeś tu emblemata,
Tytoniu, cygar, najpierwszej sorty
Niewyczerpane zda się kohorty:
„Licht“-„pursitschany“, „damskie“ i „sporty“!

Aquaria miejskie! istna rozpusta!...
W kadzi zamkniętej szkłem białych szybek,
Mogłeś najśmielsze uśmierzyć gusta,
Wszelkich ryb bowiem był tu narybek:
Jesiotry z Wołgi, z Padu langusta,
Karpie, węgorze i, o swym losie
Nic nie wiedzące, głupie łososie —
Pyszne smażone, lecz boskie — w sosie!

I choć Lwów nigdy nie był Paryżem,
Niejeden żył tu, jak książę z bajki...
Pekin nas swoim zasilał ryżem,
Rum przywożono prosto z Jamajki!
Tak wiele było wszystkiego, iżem
W jeden dzień różnych strony wdychał wiatry:
Samum z Sahary, mossun z Sumatry,
A halnym naszym pachniały Tatry!

Od płodów Azyi wiało „sirocco“,
Woń Karpat z sobą niósł hucuł-góral,
Towar zwożono ławą szeroką
Przez Apeniny, Alpy i Ural...
Świat dzwonił szczęściem i pachniał mokką!
U sań wrzeszczały dzwonki złowieszcze,
Złota i wina lały się deszcze...
Ach! raj ten czyliż powróci jeszcze?

— — — — — — — — — — —

Oto nie stanę przed sklepem w tłumie!
Gwoli marzeniem czas drogi tracę!
Ha! Niechaj żyje każdy jak umie,
Niechaj kupuje liche „ersatze“!
Ja się pogrążam w wspomnień zadumie,
Pachną mi anyż, wanilia, mięta
I wino, wszystkich rzeczy pointa!...
O wróćcie, wróćcie na przyszłe święta!

c) Finale.

Idealista.

Koryto było jedno, a osób gromada,
Kwik, tumult!... Sąsiad pcha się na sąsiada,
Każdy chce zdobyć miejsce jak najlepsze:
Zwyczajnie — wieprze.

Więc pierwsze chlewu figury
Dwa knury
I coś pięć najtęższych macior —
stanęło rzędem przy krypie
wlazłszy po kolana w zacior
żre, mlaska, chlipie.

A słysząc te lube dźwięki
młodsze karmniki znoszą istne męki.
Kręcą się, wiercą, tędy, owędy
szukają przejścia, kwiczą o względy...
Lecz do koryta, gdzie rząd starszych osób
przedostać się ani sposób.

Aż knur jeden znudzony kwikiem plebsu „żryć..."
pysk jadłem owalany oparł na korycie
i mlaskając smakowicie
rzekł.

„Motłochu wstydź się, wstydź!...
Albож w naszem życiu całem
tylko żarcie ideałem?...
Czyż nigdy was nie wzrusza żadna myśl wznioślejsza?
czy głodu cielesnego duchowy nie zmniejsza?
Wierzaj mi, braci młodsza, nie dla sadła żyjem
Tu urwał — i w pomyjach znów zatonął ryjem.

Benedykt Hertz.